

Lekomania może dotknąć każdego. Bez względu na wiek, status społeczny czy wykształcenie. Choć Polacy są w ścisłej czołówce pod względem spożycia farmaceutyków, nie sposób nie odnieść wrażenia, że problem ten jest wciąż bagatelizowany i ignorowany przez społeczeństwo.

6



Zdjęcie: fot. Daria Sienkiewicz/Fenestra

Czerwony dywan, blichtr kamer i atmosfera przepychu – 77. edycja festiwalu filmowego w Cannes należała do wyjątkowych. Dlaczego? Dzikie i odważne eksperymenty gatunkowe zaskoczyły widzów oraz krytyków, dając nadzieję na to, że na festiwalach nadal nie brakuje świeżych i bezkompromisowych produkcji, które nie są rzeźbione jedynie pod gusta jury.

6-7

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra



Bezpłatny miesięcznik
Nr 110 | CZERWIEC 2024

W Polsce pierwsza pełna porażka PiS od 2014 roku, zaskakująco wysokie poparcie dla Konfederacji, frekwencja niższa niż pięć lat temu i kiepskie wyniki Trzeciej Drogi oraz Lewicy. W Europie zwycięstwo grupy Europejskiej Partii Ludowej, znaczny spadek liberałów i zielonych oraz wzrost skrajnej prawicy. Przewidywana reelekcja Ursuli von der Leyen – odchodzenie od silnie zielonej polityki klimatycznej i bardziej konserwatywna polityka migracyjna. A to wszystko rezultatem ostatnich wyborów do Parlamentu Europejskiego.

Unia skręca w prawo



Donald Tusk i Ursula von der Leyen

Między 6 a 9 czerwca w państwach Unii Europejskiej odbyły się wybory do Parlamentu Europejskiego. Polska była piątym co do liczby miejsc w Parlamencie Europejskim państwem, z 53 deputowanymi. Poparcie dla partii, które znalazły się ponad 5% progrem wyborczym w Polsce, rozłożyło się następująco: 37,1% dla Koalicji Obywatelskiej (21 miejsc), Prawo i Sprawiedliwość – 36,1% (20 miejsc), Konfederacja – 12,1% (6 miejsc), 6,9% dla Trzeciej Drogi (3 miejsca) i 6,3% dla Lewicy (3 miejsca). Frekwencja wyniosła 40,65%. Było to pierwsze od 10 lat zwycięstwo Koalicji Obywatelskiej w wyborach, a także duży sukces dla Konfederacji, której udało się zająć 6 miejsc na podium, choć w poprzednich eurowyborach nie przekroczyła nawet progu wyborczego. Dla Prawa i Sprawiedliwości wynik ten oznacza utratę sześciu mandatów, a dla Trzeciej Drogi oraz Lewicy niewątpliwie jest on niezadowalający. Tak komentowali go na po-

wyborczych wiecach przywódcy tych partii – Będziemy mieli mnóstwo pracy i zrobimy ją dobrze – Szymon Hołownia, – Wynik traktujemy bardzo poważnie i z pokorą. Wiemy, co mamy do zrobienia i wiemy, że odpowiedzialność kosztuje – dodał Kosiniak-Kamysz i – Wynik mógłby być lepszy, można było zrobić więcej – podsumował Robert Biedroń. Należy teraz tylko czekać na to, jakie wnioski z tych wyborów wyciągną ci przewodniczący i czy w koalicji rządzącej dojdzie do jakichś zmian przed nadchodzącymi wyborami prezydenckimi.

Populistyczne tsunami

Jeżeli chodzi o wyniki ogólnoeuropejskie, to bez wątpienia można stwierdzić, że prawica odniosła największe zwycięstwo. Opierając się na strukturze ustępującego parlamentu, najwięcej, bo 186 mandatów, przypadnie centroprawicowej

„ Nie sprawdziły się przewidywania, mówiące o tym, że to skrajna prawica zajmie trzecie miejsce w Parlamencie Europejskim, ale niewątpliwie osiągnęła ona bardzo dobry wynik.

chadeckiej Grupy Europejskiej Partii Ludowej (EPP), do której należy m.in. Koalicja Obywatelska (Polska), Partia Ludowa (Hiszpania) czy Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna (Niemcy). Drugie miejsce przypadło Postępowemu Sojuszowi Socjalistów i Demokratów w Parlamencie Europejskim (S&D) – 135 mandatów, a trzecie Renew Europe (liberalnej proeuropejskiej grupie) – 79 miejsc, czyli o ok. 20 mandatów mniej niż za poprzedniej kadencji. Nie sprawdziły się przewidywania, mówiące o tym, że to skrajna prawica zajmie trzecie miejsce w Parlamencie Europejskim, ale niewątpliwie osiągnęła

ona bardzo dobry wynik. Europejskim Konserwatystom i Reformatorom (EKR) przypadły 73 mandaty (m.in. Prawo i Sprawiedliwość, Bracia Włosi, Vox), a grupie Tożsamość i Demokracja (ID) 58 mandatów (m.in. Zjednoczenie Narodowe, Alternatywa dla Niemiec, Wolnościowa Partia Austrii). Istotnym pytaniem pozostaje to, czy partie te zdecydują się ze sobą współpracować. Choć razem i tak nie uda im się uzyskać tzw. blokującej większości, istnieje możliwość, że skrajnie prawicowe grupy będą jeszcze bardziej wzmocnione. Do nowego Parlamentu Europejskiego weszło bowiem 55 nowych deputowanych,

którzy wcześniej nie przynależeli do żadnej z grup politycznych ustępującego parlamentu (m.in. 6 posłów Konfederacji) oraz 45 posłów niezrzeszonych (m.in. 11 posłów węgierskiego Fidesz-KDNP). Być może to oni zdecydują się na dołączenie do którejś z frakcji lub na nieformalne jej wspieranie.

Wraz z upływem kadencji Parlamentu Europejskiego kończy się również kadencja Przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, która ubiega się o reelekcję. Ta w obecnej chwili jest bardzo prawdopodobna. Wskazuje na to z jednej strony zwycięstwo EPP, a z drugiej sukces w Niemczech CDU/CSU (pierwsze miejsce, z wynikiem ok. 30% głosów), z którego von der Leyen się wywodzi. Oba te czynniki umacniają jej pozycję przed wyborem szefa KE na tę kadencję. Żeby móc znowu pełnić ten urząd, von der Leyen musi po pierwsze zostać wskazana jako kandydatka przez szefów państw, a następnie poddać się głosowaniu w PE, w którym musi zdobyć min. 361 z 720 głosów. W celu zdobycia odpowiedniej liczby głosów najprawdopodobniej dojdzie do porozumienia między EPP, S&D i Renew Europe. W takiej sytuacji najpewniej EPP, jako najsilniejsza w tym sojuszu, dostanie stanowisko Przewodniczącej Komisji Europejskiej. Socjaliści staną się odpowiedzialni za kierowanie Radą Europejską, a liberałom przypadnie stanowisko Wysokiego Przedstawiciela Unii ds. Zagranicznych i Polityki Bezpieczeństwa. Jak Ursula von der Leyen mówiła – razem zbudujemy bastion przeciwko ekstremistom z lewa i z prawa, powstrzymamy ich. Pojawiają się jednak głosy, że aby zapewnić sobie pewne poparcie (sojusz tych trzech partii daje odpowiednią liczbę głosów, ale nie wiadomo, czy pojedyncze osoby się nie wyłamią) von der Leyen będzie próbowała zabiegać o wsparcie ze strony Zielonych (którzy w wyniku tegorocznych wyborów utracili sporo mandatów, ale wciąż mają ich 53) lub ze strony narodowo-konserwatywnego ugrupowania Giorgia Meloni, które zdobyło 24 mandaty.

Marianna CZMOCHOWSKA

Megalomania czy rozsądek?



Pociągi Pendolino nie są obecnie wykorzystywane w pełni swoich możliwości

Premier Donald Tusk potwierdził, że Centralny Port Komunikacyjny powstanie. Sztandarowy projekt PiS ma szansę stracić partyjną, upolitycznioną łatkę. Powstanie CPK byłoby prawdopodobnie największą inwestycją w infrastrukturę w dotychczasowej historii Polski. To tak zwany megaprojekt, czyli budowa, która w kraju naszej wielkości przybiera wymiar epokowy. Czy sen o superlotnisku wraz z mknącymi 300 km/h pociągami jest w naszym kraju realny?

Centralny Port Komunikacyjny to nie tylko wspomniane lotnisko, to przede wszystkim koło zamachowe rozwoju sieci transportu w całym kraju. Integralną częścią inwestycji ma być stworzenie sieci kolei dużych prędkości z prawdziwego zdarzenia. Oczywiście znajdą się tacy, którzy zaprotestują, zwracając uwagę, że taką trasę już posiadamy. Mowa o Centralnej Magistrali Kolejowej, spinającej Warszawę z aglomeracją górnośląską. Pomimo sprzyjających parametrów technicznych, dozwolona prędkość pociągów pasażerskich wynosi tam „zawrotne” 200 km/h. Tak szybko jeździły japońskie ekspresy shinkansen... 60 lat temu. Od prawie dekady PKP Intercity dysponuje składami ED250/ETR610, znanymi po-

wszechnie jako „pendolino”, które mogłyby jeździć dużo szybciej. Przeszkodami są: ograniczenia w sygnalizacji, prawo obowiązujące na kolei oraz towarzystwo innych, wolniejszych pociągów.

Kluczowym elementem CPK ma być przebiegająca przezeń zupełnie nowa trasa, znana w mediach jako „Igrek”. Przydomek odzwierciedla jej układ: rozpocznie się na nowo zmodernizowanym dworcu Warszawa Zachodnia, następnie przez lotnisko w Baranowie pociągi dojadą do Łodzi, pod którą ma powstać specjalny tunel. Dalej, superszybkie składy miałyby zatrzymać się w Sieradzu, który stałby się stacją węzłową. Tam, linia ma się rozgałęzić, północna odnoga dotrze do Poznania, południowa do Wrocławia. W ten sposób największe miasto Polski zostałyby połączone z trzecim, czwartym oraz piątym co do wielkości ośrodkiem

” Politycy mówią o roku 2035, jako najwcześniejszej możliwej dacie realizacji inwestycji. – Najbardziej zaawansowane są projekty kolejowe – powiedział w rozmowie z portalem „Bankier.pl” minister infrastruktury – Dariusz Klimczak.

bezkolizyjną, nowoczesną, ekologiczną i co najważniejsze drastycznie skracającą czas trasą. Brzmi to bardzo pięknie, ale czy jest to realny plan? Kiedy będziemy mogli wsiąść w polski superekspres?

Politycy mówią o roku 2035, jako najwcześniejszej możliwej dacie realizacji inwestycji. – Najbardziej zaawansowane są projekty kolejowe – powiedział w rozmowie z portalem „Bankier.pl” minister infrastruktury – Dariusz Klimczak. Biorąc pod uwagę przykłady z państw bogatszych od Polski, posiadających większe doświadczenie w tworzeniu „me-

gaprojektów” infrastrukturalnych, stworzenie kilkuset kilometrów zaawansowanych technologicznie tras wraz z całym zapleczem oraz kupnem taboru może zająć dłużej niż zakładane 11 lat. Problemem są przede wszystkim koszty – a te mają być astronomiczne. Pełnomocnik rządu do spraw CPK poinformował w kwietniu, że trasa miałaby kosztować około 72 miliardów złotych. W przypadku tak wielkich inwestycji, wstępne wyceny rzadko kiedy pokrywają się z ostatecznym rachunkiem. Galopujące koszty zmusiły rząd Wielkiej Brytanii do drastycznego

okrojania projektu szybkiej kolei z Londynu na północ kraju. W efekcie, powstanie ogryzek pierwotnego planu, za (na tę chwilę) 66 miliardów funtów (to jest około 342 miliardów złotych). Ogromne opóźnienie zalicza projekt KDP w słonecznej Kalifornii. Zapowiadana rewolucja w transporcie, jest tak odległa w czasie, że budowniczowie nie podają roku, w którym pociągi przejechałyby całą trasę z Los Angeles do San Francisco. Nawet Japonia, będąca pionierem i mistrzem w dziedzinie szybkiej kolei zalicza opóźnienia i zmagając się z rosnącymi kosztami budowy. Czy uda nam się udźwignąć tak wielkie wyzwanie?

Oprócz kosztów, projekt KDP hamuje sprzeciw części mieszkańców gmin, przez które przebiegać ma trasa. Obawiają się oni hałasu i dewastacji terenów zielonych. Faktem jest jednak to, że kolej zajmuje dużo mniej miejsca niż autostrada czy droga ekspresowa. Wiele odcinków trasy ma przebiegać również w bezpośrednim sąsiedztwie istniejących już linii kolejowych. W przypadku tras KDP stosuje się powszechnie ekrany akustyczne, nasypy, wiadukty oraz tunele, które ograniczają ingerencję w otoczenie. Zapowiedzi rządzących nie przekonują jednak mieszkańców Mikołowa na Śląsku, Brzezin w Łódzkiem oraz okolic wielkopolskiego Jarocina. Wszędzie tam odbyły się w minionych miesiącach protesty.

Kolej dalekobieżna bije w Polsce rekordy popularności. Wiceprezes PKP Intercity Tomasz Gontarz poinformował na łamach portalu „X”, że w stosunku do minionego roku, pociągi spółki przewiozły aż o 22% więcej pasażerów. – Przez pierwsze trzy miesiące 2024 obsłużyliśmy 16,5 mln klientów. Dla porównania w I kwartale 2023 było ich 13,8 mln – podkreślał. Inwestycja w KDP to możliwość podobnego „cywilizacyjnego” rozwoju dla Polski, jakim było powstanie rozległej sieci autostrad i dróg ekspresowych. Kolej ma sens i przeżywa obecnie renesans. Atrakcyjne oferty cenowe, ekologiczny aspekt tego środka transportu oraz możliwość relaksu w trakcie podróży, te wszystkie zalety są ważne. Błędną jednak przy punktualnej i szybkiej podróży z punktu A do punktu B. Obecnie przejazd z Wrocławia do Warszawy zajmuje w zależności od połączenia około cztery godziny. Nowa trasa miałaby skrócić go do dwóch godzin i trzydziestu minut. Trudno przecenić długoterminowe korzyści, jakie płyną z takiego niezawodnego połączenia. Jak podaje rząd Japonii, dzięki połączeniu szybką koleją Tokio z odległą o blisko 1200 kilometrów prefekturą Kagoshima, udało się zwiększyć wzrost gospodarczy tego regionu o 430 milionów dolarów w skali roku. Polacy zasługują na nową jakość w transporcie kolejowym a projekt KDP, jeśli okaże się sukcesem, może zrewolucjonizować podróżę w naszym kraju.



Planowany przebieg nowej trasy KDP

Premier Wielkiej Brytanii Rishi Sunak z Partii Konserwatywnej zarządził przyspieszone wybory parlamentarne, które odbędą się 4 lipca. Pierwotnie miały one się odbyć późną jesienią, ale lider torysów zdecydował się na ich zorganizowanie ze względu na obecnie panującą „korzystną sytuację gospodarczą” i „ciężko wypracowaną stabilność”. Nie jest jednak tajemnicą, że notowania Partii Konserwatywnej są fatalne, a prognozy wskazują, że mogłyby się jeszcze pogorszyć, gdyby wybory odbyły się pod koniec roku.

Gdy Sunak ogłaszał decyzję o przyspieszonej elekcji, na Downing Street 10 lał deszcz, a garnitur premiera był cały przemoczony, aura nie oszczędziła również jego fryzury. Mimo to, oprócz szczegółów dotyczących wyborów, Sunak powiedział również parę słów na temat taktyki na kampanię wyborczą oraz swoich przeciwników politycznych:

– Teraz nadeszła chwila, aby Wielka Brytania wybrała swoją przyszłość i zdecydowała, czy chce wykorzystać postęp, jaki poczyniliśmy, czy też zaryzykować powrót do punktu wyjścia i braku pewności – mówił premier. Dodał również, że lider laburzystów Keir Starmer wybiera zawsze łatwe, niekoniecznie najlepsze rozwiązania. Jego rywale z Partii Pracy drwili, że okoliczności, w jakich przemawiał lider torysów, podsumowują jego niespełna dwuletnią kadencję na stanowisku szefa rządu.

Konserwatywne meandry

Od 2016 roku, kiedy to David Cameron odchodził ze stanowiska po przegranych referendum ws. wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej, Brytyjczycy mieli już czterech premierów z tego samego ugrupowania. Od 2016 do 2019 roku urząd ten piastowała Theresa May. Dostała ona zadanie wynegocjowania korzystnej umowy warunkującej wyjście z UE. Przyspieszone wybory parlamentarne w 2017 roku wygrali torysi, co według May umocniło jej pozycję negocjacyjną. Partia Konserwatywna straciła jednak większość w Izbie Gmin, co w 2019 roku zaowocowało trzykrotnym odrzuceniem umowy przez parlament. W wyniku tego urząd premiera objął Boris Johnson, który również zaczął kadencję od trzech

przegranych głosowań. Po nieudanej próbie zawieszenia 21 posłów Partii Konserwatywnej ogłosił kolejne przedterminowe wybory, w których torysi odzyskali większość w Izbie Gmin. Umowa z UE została przyjęta, jednak po licznych skandalach związanych m.in. z przyjęciami urządzanymi w czasie pandemii, Johnson odszedł ze stanowiska premiera, a jego miejsce zajęła Liz Truss. Jej kadencja trwała tylko 45 dni i zgodnie z badaniami YouGov była najbardziej negatywnie ocenianą osobą na tym stanowisku w historii.

Zmęczenie Brytyjczyków

25 października 2022 roku na stanowisko premiera Wielkiej Brytanii został zaprzysiężony Rishi Sunak. Musiał znaleźć rozwiązania na gwałtowne wzrosty cen, wysoką inflację i migrantów spływających do Wielkiej Brytanii kanałem La Manche. Ten ostatni problem miał zostać rozwiązany przez tzw. Rwanda asylum plan. Umożliwił on deportację osób ubiegających się o azyl, przybywających do Wielkiej Brytanii „małymi łodziami”. Ustawa została okrzyknięta jako niezgodna z Europejską Kartą Praw Człowieka. Były angielski piłkarz Gary Lieneker napisał na X, że to „prawo podobne do tego z Niemiec z lat 30”. Sunak był również oskarżany o spóźnione działania podczas ewakuacji obywateli brytyjskich z ogarniętego wojną Sudanu. Na początku otwartego konfliktu izraelsko-palestyńskiego w 2023 roku popierał Izrael i mówił, że ma on „pełne prawo do obrony”. Wspierał jednak humanitarnie Palestyńczyków. Obecnie jest za zawieszeniem broni, ale nie zgadza się na aresztowanie Benjamina Netanyahu, jeśli znajdzie się

Nieuchronna katastrofa



Czy w lipcowych wyborach zgodnie z przewidywaniami triumf odniesie Partia Pracy?

” 25 października 2022 roku na stanowisko premiera Wielkiej Brytanii został zaprzysiężony Rishi Sunak. Musiał znaleźć rozwiązania na gwałtowne wzrosty cen, wysoką inflację i migrantów spływających do Wielkiej Brytanii kanałem La Manche. Ten ostatni problem miał zostać rozwiązany przez tzw. Rwanda asylum plan. Umożliwił on deportację osób ubiegających się o azyl, przybywających do Wielkiej Brytanii „małymi łodziami”.

na terytorium Wielkiej Brytanii po majowym wyroku MTK w Hadze. W dodatku premier wyszedł wcześniej z obchodów rocznicy D-Day w Normandii, aby udzielić wywiadu telewizji ITV. Wydarzenie to zostało skrytykowane przez wojskowych obecnych na uroczystości oraz jego lewicowych rywali.

Już na początku kadencji Sunaka Partia Pracy wyprzedzała jego ugrupowanie o ponad 25 punktów procentowych z wynikiem ponad 50%. W maju 2023 roku w lokalnych wyborach w Anglii torysi stracili ponad 1000 miejsc w lokalnych zgromadzeniach. W tegorocznych wyborach samorządowych

Partia Konserwatywna straciła kolejne 500 miejsc, co spowodowało, że mają oni w sumie mniej mandatów od Liberalnych Demokratów.

Zupełnie inaczej wygląda teraz sytuacja lidera laburzystów Keira Starmera. Kolejne skandale i wpadki partii Rishiego Sunaka oraz samego premiera działają na korzyść Partii Pracy. Średnio od trzech miesięcy ich przewaga nad torysami wynosi ponad 20 p.p. Starmer i jego ekipa bardzo mocno angażują się w kampanię na południu Wielkiej Brytanii, gdzie dotychczas socjaldemokraci nie mogli przełamać „niebieskiej ściany”.

– Musimy wygrywać wszędzie. W 2019 roku przegraliśmy bardzo dotkliwie, więc naszą strategią zawsze było musieć i chcieć wygrywać, gdzie tylko się da – mówił w czerwcowym wywiadzie dla „The Guardian” lider Partii Pracy. W programie lewicy znajduje się m.in. skrócenie kolejek do lekarzy, zbliżenie się do UE, stabilność gospodarcza, bezpieczeństwo narodowe i liczne przywileje socjalne, jak np. zwiększenie liczby miejsc dla dzieci w żłobkach. Ważnym problemem dla Starmera wydaje się też załatanie dziury kadrowej w służbie zdrowia. W puli propozycji Partii Pracy znajduje się podatek dla absolwentów zamiast czesnego w trakcie trwania studiów.

Wybory odbędą się 4 lipca, jednak wiele wskazuje na to, że po 14 latach do rządzenia powróci Partia Pracy. Ekstremalnie trudno Partii Konserwatywnej będzie nadrobić starty poniesione przez dwa lata rządów Rishiego Sunaka, ale i nie tylko. Wydaje się, że ogłoszenie wcześniejszych wyborów miało na celu ukrócenie mąk rządzących torysów.

Filip STACHOWICZ



To będą trzecie przyspieszone wybory parlamentarne w Wielkiej Brytanii w ciągu ostatnich siedmiu lat

Lekomania może dotknąć każdego. Bez względu na wiek, status społeczny czy wykształcenie. Choć Polacy są w ścisłej czołówce pod względem spożywania farmaceutyków, nie sposób nie odnieść wrażenia, że problem ten jest wciąż bagatelizowany i ignorowany przez społeczeństwo.

Karolina od Tramalu uwalniała się sama. Kazała mężowi zabrać córkę.

Pierwsze dwa dni przebiegły w porządku. Substancja nadal była w organizmie. Z każdym kolejnym dniem było coraz gorzej. Omamy, halucynacje, diabły za oknami. Kobieta powybiła szyby. Nie jadła. Wymiotowała.

I była w tym całkiem sama. Nie chciała niepokoić rodziców. Małe zwycięstwo. Dwa lata temu zaczęła wciągać tabletki nosem. Nie wystarczało i na dwa miesiące pojawił się w jej życiu mefedron. Kilkuletnie podtrawanie chemią poskutkowało guzem na nerce, problemami natury psychicznej i padaczką, której łagodzenie wymaga kolejnych leków. I choć życie Karoliny przypomina mozaikę smutnych i traumatycznych wydarzeń, to przemawia przez nią niezwykła siła i spora dawka nadziei, którą ucieleśnia siedmioletnia córka – Iga. Mówiąc o niej, ton głosu Karoliny mięknie, jest przepełniony dumą.

– Ona jest cudownym dzieckiem. Szalenie inteligentnym. Pewnie każda mama tak powie, ale naprawdę. Gdybym ją straciła, to byłby dla mnie koniec – mówi, a jej słowom towarzyszą radosne okrzyki samej Igi, która bawi się w ogrodzie.

Rozmawiamy przez telefon. Karolina nie chce, żeby Iga słyszała treść rozmowy, ale nie oddała się na tyle, żeby stracić małą z oczu. Musimy co jakiś czas przerywać rozmowę, bo dziewczynka podbiega, by zadać pytanie albo pokazać coś niecierpiącego zwłoki, co rozczuła mnie jeszcze bardziej. Żadna z nas się nie gniewa.

– W zeszłym roku byłam na dwumiesięcznej terapii zamkniętej. Rodzice mogli mnie odwiedzać, ale nie chciałam, żeby Iga widziała mnie w takim stanie. Wiedziałam, że pęknie jej serce, a wtedy moje też by pękło – mówi Karolina.

Kobieta zdaje sobie sprawę, że gdy jeden członek rodziny jest uzależniony, to tak naprawdę choruje cała rodzina. Iga jest pod opieką psychologa.

Ze specjalistycznej pomocy korzystała także pani Jola, mama 24-letniego Igora, uzależnionego najpierw od Tramadolu, a potem od Oksykodonu.

Polska kocha piguły CZ. 2



Lekomania może dotknąć każdego

– Nie mogłam jeść, spać, odpoczywać czy pracować. Czulałam strach, że coś mu się stanie. Wściekłość, że się w to wplątał. Momentów bezsilności było całkiem sporo, ale jestem silna psychicznie i mam wsparcie ze strony męża, córki i mamy, a także poznałam innych rodziców, którzy przechodzili przez to samo – dzieli się kobieta.

Do tej pory sytuacja bardzo ją pochłania i chociaż Igor po trzech latach wyszedł z nałogu i powoli wraca do pełnego zdrowia, to co jakiś czas odzywa się w niej obawa, że to jeszcze nie koniec.

– Uzależnienie to choroba emocji i nie wybiera. Może dotknąć każdego bez względu na status społeczny, wykształcenie, płeć. Mój syn to mądry, wrażliwy, empatyczny mężczyzna z dobrze zdaną maturą. I jego też dopadło. Zawsze trzeba walczyć – opowiada pani Jola.

Zdaniem Karoliny walka z uzależnieniem przypomina często walkę z wiatrakami, dlatego kluczowa jest odpowiednia motywacja.

– To się tak mówi, że „masz o kogo walczyć, więc walczyć”, ale prawda jest taka, że nie możesz tego robić dla kogoś. Zrób to dla siebie, a ta druga osoba skorzysta. W tym wypadku moja córka – mówi.

Czarna dziura

– Jak najdalej od swoich znajomych, bo to oni cię ciągną w dół. Jeżeli masz toksyczną rodzinę, to uciekaj. Pobądź sam, bo to w tobie jest największy problem. Dopóki nie nauczysz się być szczęśliwy sam ze sobą, to nigdy nie będziesz szczęśliwy. Musisz stać się dla siebie priorytetem – przekonuje.

Dla Karoliny najgorsze było skonfrontowanie się z samą sobą. Nie była w stanie sobie wyobrazić, jak może funkcjonować na trzeźwo.

– Pod wpływem miałam w sobie taką moc. Byłam strasznie szczęśliwa. Przed terapią niby na pożegnanie z prochami nażarłam się ich do tego stopnia, że przyjechało pogotowie. Wizja trzeźwego życia przerażała tak bardzo, że w ośrodku podawali mi leki na uspokojenie – wspomina.

Ordynator Całodobowego Oddziału Uzależnień w Łukowie powiedział jej, że w przypadku lekomanii dwumiesięczny pobyt jest stanowczo za krótki. Rok to minimum. Karolina nie mogła sobie na to pozwolić ze względu na córkę.

– Pierwszy tydzień po terapii był w porządku. Widziałam Igę. Dwa tygodnie później pojawił się głód i tęsknota za tamtym stanem. Mój umysł go pamięta i to wystarcza, żebyśmy nawet nie biorąc, do końca

napisała do Karoliny dziewczyna, żeby jej powiedziała, że dzięki niej jej chłopak poszedł na odwyk. Karolinę ucieszyło, że jej doświadczenia mogły komuś pomóc.

„Jest u mnie kraj”

Dawid też stara się pomagać innym. Wierzy, że ludzie, których napotykamy na swojej drodze to odbicia lustrane, które obnażają nasze traumy i pomagają się nam wyleczyć.

– Nie szukam ludzi. To oni znajdują mnie. Z reguły kończy się to fiaskiem, bo uzależniony nikogo nie słucha. Aktualnie próbuję wyciągnąć jedną dziewczynę z ćpania. Jest trzeźwa niecały miesiąc. Mamy wiele wspólnego. Do tego gra na skrzypcach. Może coś z tego będzie. Nie wiem. Na razie chcę jej pomóc – mówi.

Obecnie nie czuje się lekomanem. Jest dumny, że udało mu się wyjść ze schematu, który ciągnął się za nim od 15 roku życia.

– To, co mi najbardziej pomogło w życiu, to gdy gościu powiedział: „stary, ty musisz usiąść i za każdym razem pomyśleć, skąd ci się bierze ta myśl albo dlaczego robisz to, co robisz. Im dłużej będziesz szukał źródła, tym łatwiej ci będzie”. I to działa – przyznaje Dawid.

Innym uzależnionym radzi zmienić otoczenie.

– Jak najdalej od swoich znajomych, bo to oni cię ciągną w dół. Jeżeli masz toksyczną rodzinę, to uciekaj. Pobądź sam, bo to w tobie jest największy problem. Dopóki nie nauczysz się być szczęśliwy sam ze sobą, to nigdy nie będziesz szczęśliwy. Musisz stać się dla siebie priorytetem – przekonuje.

Dawid nie uważa się za osobę wierzącą, ale podchodzi do życia holistycznie.

– Patrzę na siebie jak na świat. Jest we mnie kraj, którego nie Kocham. Jest we mnie kraj, który ze mnie sztydzi. Taki, za którym tęsknię i taki, który tęskni za mną. Jest i ten, który woła o pomoc. W tym wszystkim chodzi o to, żeby zacząć słuchać tego, co każdy fragment nas ma do powiedzenia. I go zintegrować z innymi – mówi chłopak.

I może ma rację. Może to już czas byśmy obalili własne mury, zatarli granice, przestali się oceniać i obwiniać, i zaczęli słuchać tego, co mamy do powiedzenia. Może wtedy, staniemy się dla siebie całym światem i żaden inny nie będzie nam już potrzebny do szczęścia.

Katarzyna RACHWAŁSKA

* Imiona zostały zmienione, by zachować prywatność i anonimowość występujących w reportażu osób.

* Pierwszą część reportażu opublikowano w majowym wydaniu Gazety „Fenestra”.

Niskie ceny biletów lotniczych i liczne oferty all inclusive zachęcają i przyciągają wielu turystów.

Wzmożony ruch znacząco wpływa na życie w popularnych wakacyjnych kierunkach – w szczególności dla lokalnych mieszkańców, dla których coraz częściej nie jest to wpływ pozytywny.

Overtourism to inaczej zjawisko nadmiernej turystyki. W popularnych miejscach pojawiają się sezonowe zatłoczenie i przełudnienie. Nadmiar turystów winduje ceny nieruchomości, usług i towarów, sprawiając, że jakość życia zwykłych mieszkańców spada. Dotyczy to zarówno znanych wakacyjnych kurortów, jak i popularnych atrakcji, które zaczynają odstraszać „lokalsów”. Władze różnych miast zauważają istniejący problem i starają się go zwalczać. W Wenecji, na Wyspach Kanaryjskich, w Barcelonie i na Majorce podjęto działania mające na celu ograniczenie nadmiernej turystyki.

W kwietniu na hiszpańskim archipelagu odbywały się protesty przeciwko nadmiernej turystyce, ich uczestnicy podjęli między innymi strajk głodowy. Największe demonstracje organizowano na Teneryfie i Gran Canaria. Policja szacowała, że w najliczniejszym proteście w Santa Cruz de Tenerife wzięło udział ponad 30 tysięcy osób. Według strajkujących masowa turystyka jest przyczyną nadmiernej eksploatacji wysp, co wpływa na środowisko i mieszkańców. Jednym ze skutków tego stanu rzeczy jest niedobór wody, która wykorzystywana jest do infrastruktury turystycznej, takiej jak baseny czy też pola golfowe. Ponadto wakacyjny wynajem pokojów i apartamentów wypiera lokalnych mieszkańców z rynku mieszkaniowego. Protestujący uważają, że nadmiar turystów wiąże się z hałasem, chaosem komunikacyjnym, wysokimi cenami i zanieczyszczeniami. Domagają się zrównoważonego i świadomego rozwoju turystycznego. W 2023 roku Wyspy Kanaryjskie odnotowały rekordową liczbę – ponad 16 milionów turystów, a dane wskazują, że obecny rok może ją przebić.

To może do Wenecji?

Miasto znane z gondoli i kanałów również boryka się z problemem nadmiernej turystyki. Podejmuje się tam różne środki, aby walczyć z tym zjawiskiem. Na początku czerwca weszły w życie nowe ograniczenia dla zwiedzających. Dotyczą one zmniejszenia maksymalnej liczby osób, które mogą uczest-

Turyści kontra mieszkańcy



Zjawisko overtourismu dosięga coraz więcej miejsc

niczyć w zorganizowanych wycieczkach w centrum miasta. Zgodnie z przyjętymi zasadami mogą wynosić one maksymalnie 25 osób. Dodatkowo zabroniono również korzystania z megafonów, które podsycają zamieszanie na zatłoczonych ulicach. Władze lokalne zdecydowały o wprowadzeniu ograniczenia już w ubiegłym roku na swoim ostatnim posiedzeniu. Działania te wynikają również z faktu, że Wenecja wraz z laguną jest wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. W ubiegłym roku wydano ostrzeżenie, że może się to zmienić. UNESCO wydało rekomenda-

” Hiszpańskie Baleary również dążą do ograniczenia niepożądanych zachowań pijanych turystów. Na początku maja wprowadzono przepisy, które z pewnością zbulwersowały wielu plażowiczów – zakazano picia alkoholu na plażach i ulicach. Sprzedaż procentowych napojów w sklepach jest możliwa tylko do 21:30.

cję, by Wenecja została wpisana na listę zagrożonych miejsc światowego dziedzictwa kulturowego. Jako powód tego stanu rzeczy wskazywano masową turystykę i zmiany klimatyczne.

Innym sposobem walki z tym zjawiskiem jest podatek turystyczny. 25 kwietnia w Wenecji wprowadzono wejściówki dla zwiedzających przyjeżdżających na jeden dzień. Opłata wynosi pięć euro



Hiszpańskie wyspy przeżywają prawdziwe oblężenie

i pobiera się ją w okresie od kwietnia do połowy lipca. Nowa regulacja wprowadziła jednak pewne kontrowersje – istnieją strony internetowe, które opisują, jak łatwo go ominąć. Ponadto kwota pięciu euro nie „odstraszy” przyjezdnych. Z drugiej strony dzięki niej turyści generują dodatkowe przychody, a zebrane pieniądze mogą zostać przeznaczone na renowację zabytków i przestrzeni publicznych. Lokalne media opisywały, że od 25 kwietnia do 5 maja sprzedano 19 500 wejściówek do Wenecji, co przelożyło się na kwotę 975 000 euro.

Wyspy protestują

Mieszkańcy Majorki również postanowili zaprotestować przeciwko nadmiernej turystyce. Uczestnicy wyszli z transparentami „Majorka nie jest na sprzedaż”. Lokalni mieszkańcy wskazują nadmierną turystykę jako powód kryzysu mieszkaniowego i kryzysu na rynku pracy. W gronie protestujących znalazły się również związki zawodowe, ekolodzy i inicjatywy obywatelskie. Demonstracje zaplanowano na czerwiec, lipiec i sierpień. Protesty mają przynieść się na port lotniczy Palma de Mallorca, co z pewnością skomplikuje wakacyjne plany zagranicznych turystów. W ubiegłym roku lotnisko obsłużyło aż 31 milionów pasażerów z całego świata.

Hiszpańskie Baleary również dążą do ograniczenia niepożądanych zachowań pijanych turystów. Na początku maja wprowadzono przepisy, które z pewnością zbulwersowały wielu plażowiczów – zakazano picia alkoholu na plażach i ulicach. Sprzedaż procentowych napojów w sklepach jest możliwa tylko do 21:30. Za naruszenie przepisów grozi od 500 do 1500 euro grzywny. To, co dla jednych oznacza koniec kolorowych drinków na plaży, dla innych oznacza mniej pijanych i głośniejszych imprezowiczów. Hiszpańskie wyspy takie jak Majorka czy Ibiza znane są z klubowego stylu życia. Przyciągają turystów, którzy chcą zabawić się na wakacjach, ale lokalni mieszkańcy mają dość ciągłych hałasów.

Obecne czasy dają przeciętnym ludziom duże możliwości podróżowania – tanie linie lotnicze oferują przystępne cenowo wyjazdy, przy pomocy jednego kliknięcia można zarezerwować cały wyjazd. Jednak to, co dla nas oznacza czas odpoczynku i dobrej zabawy, lokalnym mieszkańcom raczej nie przynosi pozytywnych wrażeń. Turystyka jest istotna dla lokalnej gospodarki, generuje duże przychody i napędza ją, ale ciągnie za sobą również negatywne skutki.

Marcelina GÓRSKA

Czerwony dywan, blichtr kamer i atmosfera przepychu – 77. edycja festiwalu filmowego w Cannes należała do wyjątkowych. Dlaczego? Dzikie i odważne eksperymenty gatunkowe zaskoczyły widzów oraz krytyków, dając nadzieję na to, że na festiwalach nadal nie brakuje świeżych i bezkompromisowych produkcji, które nie są rzeźbione jedynie pod gust jury.

Na lazurowym wybrzeżu niewiele się od zeszłego roku zmieniło: pogoda w maju rozpieszcza (choć w pierwszych dniach padał deszcz), Francuzi nadal nie mówią po angielsku (choć jakby lepiej z każdą edycją), a ceny w lokalnych restauracjach nadal są wysokie (choć coraz wyższe). Początek festiwalu dla wielu okazał się jednak pozytywną niespodzianką. Jedno z najważniejszych wydarzeń filmowych na świecie wreszcie postanowiło zwiększyć budżet na internetowy system rezerwacji, dzięki czemu poranne „klikanie” na premiery należało do przyjemności. To bezprecedensowa sprawa, bo wcześniej czatowanie na wolne miejsca raczej kojarzyły się z męką oraz irytacją, co potwierdza również Paweł Szruba z portalu Immersja: – Francuzi znani ze swojej bez troski, tym razem naprawdę przyłożyli się, by poprawić błędy dręczące uczestników od lat. Na wspomnienie zasługuje tu usprawnienie systemu rezerwacji, który wreszcie działa! Nie żeby działał idealnie, nic z tych rzeczy, ale sam fakt jakiegokolwiek responsywności jest ogromnym krokiem naprzód. Podobnie ma się sprawa z punktualnością. Nie zna życia ten komu ułożony wcześniej harmonogram nie rozpadł się w rękach przez opóźnienia projekcji. W tym roku problem zniknął, poprawiła się też znacząco logistyka wpuszczania uczestników na poszczególne seanse – chwali dziennikarz. Cóż, Cannes zmienia się na lepsze – dostrzega swoje mankamenty i próbuje wsłuchać się w głosy widzów. To zaskakujące.

Na tegoroczną selekcję, ani nawet na decyzje jury również nie można narzekać. Rola przewodniczącej należała do jednej z najpopularniejszych reżyserek ostatnich lat: Grety Gerwig – twórczyni różowej „Barbie” i feministycznych „Małych kobietek”. Barwny program 77. edycji wydawał się wręcz skrojony pod gust Gerwig – Jacques Audiard stworzył kryminalny antimusical o pragnącym korekty płci bossie narkotykowym („Emilia Pérez”); Coralie Fargeat zachwycała (jak i podzie-

Cannes z RiGCZem



77. festiwal w Cannes dostarczył jak zwykle wielu wrażeń

liła) publiczność groteskowym, emancypacyjnym body horrorem o kulcie młodości („Substancja”); zbiegły z Iranu Mohammad Rasoulof pokazał widzom idealną fuzję rodzinnego melodramatu i kina politycznego z silnymi kobiecymi postaciami w rolach głównych („The Seed of the Sacred Fig”), a Payal Kapadia, prezentując pierwszy od 30 lat indyjski film w konkursie, z wrażliwością opowiedziała o rozterkach kobiet żyjących we współczesnym Mumbaju („Wszystkie odcienie światła”). Każdy z wymienionych wyżej tytułów zaskarbił sobie sympatię przewodniczącej, zgarbiając po kolei złote statuetki. Najważniejsza nagroda powędrowała do faworyta festiwalu – Seana Bakera za „Anorę” – ironiczną opowieść o młodej striptizerce zakochanej w synie rosyjskiego oligarchy. Baker, po sukcesach „The Florida Project” czy „Red Rocket” pokazuje, że wciąż stać go na więcej.

Gerwig nie podejmowała jednak decyzji samodzielnie. Pozostałymi członkami jury byli: turecka scenarzystka Ebru Ceylan, amerykańska aktorka Lily Gladstone, francuska aktorka Eva Green, libańska reżyserka i scenarzystka Nadine Labaki, hiszpański reżyser Juan Antonio Bayona, włoski aktor Pierfrancesco Favino, japoński reżyser Kore-Eda Hirokazu oraz francuski aktor i producent Omar Sy. Międzynarodowe grono miało do obejrzienia aż 21 filmów. Trudno nie zauważyć, że w tym roku nagrodzono głównie filmy z kobiecym akcentem

„Na festiwalu w Cannes, jak zawsze można liczyć na dodatkowe atrakcje, jednym z nich było spotkanie z Meryl Streep, którą podczas festiwalu nagrodzono Honorową Złotą Palmą.

i feministycznym przesłaniem. To pocieszające, biorąc pod uwagę, że na 21 filmów tylko cztery wyreżyserowały kobiety. Zarządzający programem duet Iris Knobloch & Thierry Fremaux stworzył spójną tematycznie selekcję, w której nie zabrakło świeżości, gatunkowego szaleństwa i autorskiej przebojowości.

A jak konkursowy program oceniają inni krytycy? Jan Tracz, piszący m.in. dla portalu The Upcoming czy Interia Film, 77. edycję uznaje za udaną: – Niby canneńskie piekło, a jednak, wraz z upływem czasu, festiwal wspomina się nad wyraz ciepło. Tegoroczna edycja należy do tych udanych, choć konsensus krytyków jest zupełnie inny. A przecież działa się wiele: doświadczyliśmy nowych narodzin gwiazdy (rewelacyjna Mikey Madison w

„Anorze”), na aktorskie wyżyny powróciła Demi Moore („The Substance”), a Sorrentino ponownie zaprosił nas w kolejną sensualną wędrówkę filmową (transcendentne i poruszające „Parthenope”). Większość tytułów z konkursu głównego to naprawdę świetne kino – nawet jeśli nie każdy film dobrze się oglądało, to o wszystkich świetnie się myślało tuż po seansie (nawet tych złych i kiczowatych). Chyba tylko Cronenberg nie popisał się swoim dziwnym i niejako problematycznym (tematycznie) autofellatio w „The Shrouds”. Ale to już inna historia! Niech żyje kino i miejmy nadzieję, że Wenecja nie będzie odstawać od tej edycji Cannes – mów z entuzjazmem, trzymając kciuki za 81. edycję filmowego Biennale.

„Tegoroczna edycja należy do tych udanych, choć konsensus krytyków jest zupełnie inny. A przecież działa się wiele: doświadczyliśmy nowych narodzin gwiazdy (rewelacyjna Mikey Madison w „Anorze”), na aktorskie wyżyny powróciła Demi Moore („The Substance”), a Sorrentino ponownie zaprosił nas w kolejną sensualną wędrówkę filmową (transcendentne i poruszające „Parthenope”).

„Prawdziwym świętem kina” tegoroczne Cannes nazywa również Marcin Prymas – krytyk filmowy z portalu Pełna Sala: – Niezwykle wysoki poziom konkursu stanowił dla mnie miłe zaskoczenie po rozczarowującej selekcji z ostatnich lat. Poza zwycięską „Anorą” nie mam wątpliwości, że długie dyskusje wzbudzać będą także monumentalne i szalone „Megalopolis” Francisa Forda Coppoli, queerowa telenowela gangsterska Jacques'a Audiarda – „Emilia Pérez”, a zwłaszcza „The Substance” – feministyczny body horror zrodzony w umyśle Coralie Fargeat. W konkursie nawet Nawet tytuły, które już przed startem zabawy na Lazurowym Wybrzeżu machały głównie czerwonymi flagami, takie jak „Marcello Mio” Christophe'a Honore, czy „Motel Destino” Karima Aïnouza zawierają w sobie ciekawe elementy i nie są tylko odstającymi pośmiewiskami – podsumowuje dziennikarz.

Gdy pytałam krytyków o ich największe filmowe rozczarowanie, najczęściej z ich ust padało: „The Shrouds”. Wśród antyfanów tytułu znalazł się również Paweł Szruba z „Redakcji” Portalu Immersja: – Film Cronenberga na papierze miał absolutnie wszystko bym go polubił, w rzeczywistości jednak okazał się zabójczo nieangażujący i rozwleczony. Scenariusz przypomina kultowe „The Room” do tego stopnia, że w pewnym momencie byłem święcie przekonany, że za chwilę na ekranie pojawi się Tommy Wiseau ze swoim kultowym już „Oh Hi Mark” – komentuje z przekąsem.

Na festiwalu w Cannes, jak zawsze można liczyć na dodatkowe atrakcje, jednym z nich było spotkanie z Meryl Streep, którą podczas festiwalu nagrodzono Honorową Złotą Palmą. Tak laureatka trzech oscarów wspominała początki swojej kariery w branży filmowej – Teraz największe gwiazdy filmowe na świecie to kobiety. Gdy ja zaczynałam, było zupełnie inaczej. Byłyśmy nieustannie podkopywane w negocjacjach ze studiami. (...) Kierownicy filmowi, którzy podejmują decyzje o realizacji filmów, żyją swoimi fantazjami. Dlatego, zanim w studiach na stanowiskach decyzyjnych pojawiły się dyrektorki, dla mężczyzn bardzo trudne było utożsamić się na ekranie z żeńskimi postaciami. Z kolei dla kobiet będących na kierowniczych posadach wyobrazenie sobie siebie w roli męskiego bohatera było czymś normalnym. (...) Pierwszym filmem, dzięki któremu mężczyzna podszedł do mnie i powiedział, że wie, jak czuła się moja protagonistka, był „Diabeł ubiera się u Prady”. „Wiem jak to jest być tym, kto podejmuje decyzje, a nikt cię nie rozumie” – wyznał mi. To było dla mnie fascynujące – podsumowała Streep.

Gdyby każda edycja oferowała tyle pozytywnych emocji, ile tegoroczna, nikt nigdy nie śmiałyby już więcej narzekać na canneński festiwal. Jedno jest pewne – w 2024 roku jest w kinach na co czekać.

Daria SIENKIEWICZ



Zródło: fot. Daria Sienkiewicz/Fenestra



Zródło: fot. Daria Sienkiewicz/Fenestra



Zródło: fot. Daria Sienkiewicz/Fenestra



Zródło: fot. Daria Sienkiewicz/Fenestra



Zródło: fot. Daria Sienkiewicz/Fenestra



Zródło: fot. Daria Sienkiewicz/Fenestra

Kaskader warty uwagi?

„Kaskader” to film rozgrywający się na planach filmowych, ale nie tylko.

Mamy życie w metropoli, luksusowe apartamenty, pościgi i opuszczone domki – te wszystkie miejsca przeczesuje tytułowy kaskader, gdy wciągnięty zostaje w poszukiwania filmowej gwiazdy grającej w produkcji, realizowanej przez jego eks. Czy w tych burzliwych warunkach może powstać hit?

Najnowsza komedia akcji Davida Leitcha została zrealizowana według scenariusza Drew Pearce’a. Do przedsięwzięcia zaangażowano rozpoznawalne twarze, m. in. Emily Blunt (Jody Moreno) czy Aarona Taylora-Johnsona (Tom Ryder). W roli głównej występuje Ryan Gosling, cieszący się obecnie znacznym rozmiarów uwielbieniem za sprawą – niewątpliwie kultowej już – roli w międzynarodowym fenomenie „Barbie” Greta Gerwiga. Tym razem Gosling nie jako Ken, a kaskader Colt Seavers pojawia się na ekranie, serwując nam porządną rozrywkę.

Otworciu towarzyszy narracja bohatera, wówczas przed oczyma widza jawi się – jak się zdaje – życie marzeń Seaversa – szczęśliwy związek, praca przynosząca satysfakcję i dobra atmosfera na planie zarysowana tylko niewielkimi skazami. Sielankowa wizja szybko zostaje jednak przełamana tragicznym wypadkiem podczas dubla sceny upadku z wysokości. Od tego momentu w życiu Colta robi się trudniej i mroczniej. Ten nie przypomina dawnego siebie, stając się człowiekiem „zapuszczonym” bardziej niż jego dom, odciętym od dawnego życia... Wszystko zmienia się, na wezwanie z obozu swojej wielkiej – choć już byłej – ilości. Sama Jody – jak się okazuje – o tym wezwaniu nic nie wie, co tylko zwiększa napięcie. Twórcy dosadnie zaznaczają emocje bohaterów i przełomowe zmiany zachodzące w ich życiach.

Twórcy ciekawie wprowadzają do fabuły wątek detektywistyczny, przeobrażając go w kryminalny. Seavers na zlecenie agentki poszukuje bowiem Toma Rydera, którego zna od podszewki – w końcu przez lata był alter ego jego filmowych kreacji. Wątek ten wciąga, bo nie dość, że miesza dość mocno w prywatnych planach i nadziejach Seaversa, to jeszcze uwydatnia specyfikę relacji tej dwójki, która po prostu zapada w pamięć. Tom Ryder to, łagodnie ujmując, gnojek, nastawiony do ludzi pogardliwe, nie-



Ryan Gosling wystąpił w roli głównej

liczący się z nikim i adorujący tylko siebie.

W prywatnych apartamentach, klubach i na ulicach – poszukiwania Rydera pełne są zwrotów akcji. Mimo że pozory mogą mówić inaczej, to „Kaskader” naprawdę potrafi zaskoczyć, i to nie raz. Utrzymuje widza w stanie uwagi – choć raczej nie w napięciu – przez kolejne minuty, aż do ostatnich scen. Akcja kumuluje się w sposób idealnie przesycony, a gra toczy się o życie. Zgodnie ze specyfiką gatunku, w „Kaskaderze” pojawia się moment formalnej niepewności, co do losów głównego bohatera. Dla-

„ Jak przystało na komedię, „Kaskaderowi” nie brakuje humoru. Zawarto go w dialogach, rozwiązaniach fabularnych, nawet w doborze muzyki wyselekcjonowanej pod konkretne sceny. Akcja w ciągu tych dwóch godzin z minutami trzyma tempo około galopujące, nie pozwalając widzowi na znużenie.

czego formalnej? Bo oglądając film, tak naprawdę nie mamy wątpliwości, że za kilka chwil ujrzemy bohatera żywego. Wada? Nie, bo tego właśnie od filmu oczekujemy. Fakt, że mamy rację jest dla nas satysfakcjonujący – podob-

nie zresztą jak widowiskowo zrealizowane finałowe stracie bohaterów z antagonistami „Kaskadera”. Co jak co, ale pełen maszynierii pirotechnicznej, szybkich samochodów oraz światowej klasy kaskaderów plan filmowy ulokowany na

ogromnych polaciach piasku świetnie sprawdza się jako pole bitwy.

Obok kanonady wrażeń wizualnych, widz dostaje z dużą porcją tych z gatunku audio. „Kaskadera” dopieszczono muzycznie, w trakcie seansu wybrzmiewają wielkie hity. Słowem, jest genialnie, choć przyznać muszę, że zabolalo mnie, gdy obok oryginalnego „I Was Made For Lovin’ You” (KISS) do ścieżki dźwiękowej wcielono remix. Dlaczego? Trudno znaleźć odpowiedź... Niemniej, muzyczny całokształt zapisuje się na duży „plus”, bo siedząc w fotelu aż chce się podrygiwać i nucić.

Cieszę się, jak dobrze Ryan Gosling radzi sobie z postacią Colta Seaversa. Od początku luzacki i nonszalancki, potrafi jednak oddać zakorzeniony w bohaterze smutek, wewnętrzne podłamanie, a nawet strach. W tej kreacji nie ucieka również od celowego przerysowania postaci, budząc skojarzenia z innymi znanymi bohaterami kina. Goslinga chce się po prostu oglądać więcej i więcej, jest świetnym wodzirejem akcji. Autentyczna zdaje się też chemia, między nim a Emily Blunt, filmową Jody oraz antypatia wobec Rydera – czyli naprawdę wartej uwagi kreacji Taylora-Johnsona. Ten z kolei z miejsca wzbudza w widzu niechęć, odrazę i oburzenie. Nie jest trudno obrać właściwą stronę, wiadomo komu kibicować – pozostaje jedynie bawić się i emocjonować wspólnie z protagonistą. Ważne jest też to, że postać Jody nie ginie gdzieś na drugim planie, przyćmiona przez tytułowego kaskadera. Jako debiutująca reżyserka odgrywa znaczącą dla historii rolę, a za sprawą gry Blunt jest zapamiętywalna. Trudno będzie zapomnieć również o cameo Jasona Momoy, stanowiącym swego rodzaju miśka całej tej widowiskowej produkcji.

Jak przystało na komedię, „Kaskaderowi” nie brakuje humoru. Zawarto go w dialogach, rozwiązaniach fabularnych, nawet w doborze muzyki wyselekcjonowanej pod konkretne sceny. Akcja w ciągu tych dwóch godzin z minutami trzyma tempo około galopujące, nie pozwalając widzowi na znużenie. Obok widowiskowych wybuchów i scen walk znajdziemy ładnie zaznaczoną klamrę kompozycyjną, o kształcie pasującym do całości. Komedia akcji to idealne określenie produkcji Leitcha – bez intelektualnych wyzwania, z dużą dawką emocji i rozrywki. Produkcja ta zadziała na widza kompleksowo: niewątpliwie odpręży, rozbudzi, rozbawi i humor mu poprawi. Zrealizowany na wysokim poziomie „Kaskader” ma ten potencjał, by stać się klasykiem kin domowych – pozycją, do której chętnie się wraca.



To kolejna ważna rola Kanadyjczyka

Marcin KLONOWSKI

Nowe oblicze Persony

Do tematu odświeżonych wersji starszych gier podchodzę z dystansem. Na moje nieszczęście, większość z nich okazuje się po prostu zwykłym skokiem na kasę. A ja, jako niezwykle sentymentalny gracz, który nie może przejść obojętnie obok swoich ulubionych tytułów, raz zarazem wpadam w pułapkę wydawców wydając przy tym niebotyczne ilości pieniędzy za, po prostu, niedokończony produkt. Na szczęście, w przypadku Persony 3 ReLoad było zupełnie inaczej.



Lokacje, choć małe, to zdecydowanie cieszą oko!

Swoją przygodę z serią Persona zacząłem zaraz na początku studiów. Jak już wcześniej wspomniałem, jestem raczej typem sentymentalisty, zatem idealnym sposobem na powrót do licealnych lat okazała się właśnie trzecia odsłona serii, która swoją premierę miała już w 2006 roku. Jako świeżo upieczony student godzinami zagrywałem się w już wtedy dosyć wiekową wtedy produkcję, która skutecznie odganiała mnie od książek czy świeżo wypisanych fiszek. Ogrywając ówczesną wersję Persony na konsolę PSP czułem się trochę, jakbym znów przeniósł się w czasie do lat szkolnych. I choć zupełnie nie przeszkadzały mi niektóre zbędne mechaniki czy oprawa graficzna wyraźnie przestarzała jak na nasze czasy, w głębi serca uważałem, że ta produkcja zasługuje na odrobinę uwagi ze strony młodszych graczy. Tak oto dochodzimy do roku 2024, kiedy to fani doczekali się pierwszej odświeżonej gry z serii Persona. I, o matko, jaka ta gra jest dobra!

Po nową Personę sięgnąłem ze względu na swoją długoletnią sympatię, choć szczerze mówiąc, wahałem się. Gdybym wcześniej nie miał do czynienia z tym niesamowicie popularnym JRPGiem bez chwili zastanowienia sięgnąłbym po najnowszą produkcję Atlusa. Jednakże, jak na grę którą udało mi się ukończyć wielokrotnie, cena wydawała mi się nieco przesadzona. Finalnie, zdecydowałem się na, być może, niekoniecznie odpowiedzialny zakup jak na kieszeń biednego studenta i szczerze mówiąc – nie żałuję. Persona 3 ReLoad oferuje starszym graczom więcej, niż można było się spodziewać. Pod względem technicznym wszystko działa tak jak powinno: rozdzielczość została wyraźnie podbita, tekstury i cienie zostały dopasowane do współczesnych standardów a gra nie wymaga przy tym komputera czy konsoli rodem z NASA. Na plus oprawy graficznej przemawiają także nowe przerywniki filmowe, modele postaci a także wy-

śmienicie zaprojektowany HUB czy menu główne. Kolejną rzeczą, która jako pierwsza rzuca się w oczy są także polskie napisy, dzięki którym gracze i graczy niezaznajomieni z językiem angielskim będą mogli w końcu zapoznać się fabułą Persony 3.

Gameplay Persony 3 ReLoad, podobnie jak w innych odsłonach serii, możemy podzielić na dwie części. Ta pierwsza skupia się raczej na zupełnie normalnych aspektach życia. Chodzimy do szkoły, nawiązujemy relacje, uczymy się do egzaminów, poznajemy różne ciekawe miejscówki w mieście czy też dorabiamy po godzinach w lokalnej kawiarni. Wykonując daną czynność poświęcamy część dnia, w której to nasz bohater rozwija swoje umiejętności. Na przykład: dzień zaczynamy zajęciami w szkole, po których to możemy spędzić nieco czasu z przyjaciółmi w mieście aby

Gdybym wcześniej nie miał do czynienia z tym niesamowicie popularnym JRPGiem bez chwili zastanowienia sięgnąłbym po najnowszą produkcję Atlusa. Jednakże, jak na grę którą udało mi się ukończyć wielokrotnie, cena wydawała mi się nieco przesadzona.

finalnie nieco pouczyć się w internecie. Jednakże nudne, uczniowskie życie to nie jedyna część Persony.

Okazuje się, że nasz bohater posiada moc przyzywania tytułowych Person – istot, pełniących rolę karykaturalnej personifikacji osobowości danego człowieka. Persony mogą służyć jako broń przeciwko Cieniom, czyli bestiom, które to zagrażają niczego nieświadomym ludziom podczas tzw. „Godziny Mroku”, która stanowi dodatkową ukrytą godzinę w ciągu doby. To właśnie podczas tej godziny, nasz bohater a także garstka jego ró-

wieśników będzie walczyć o bezpieczeństwo niczego nieświadomych ludzi. Brzmi jak typowe, choć nieco za wiele, anime. Wiem. Aczkolwiek zapewniam, że Persona ma o wiele więcej do zaoferowania pod tym względem niż tylko sztafeta siłą przyjaźni, która w magiczny sposób zawsze zapobiega nieubłagalnej zagładzie ludzkości. Jak na dosyć wiekową produkcję, Persona z pełną finezją opowiada nam historie ciężkie i zdecydowanie nieprzyjemne. Nowa wersja trzeciej odsłony może pochwalić się także nowymi dialogami, które

nadają charakteru postaciom rozwijając przy tym i tak zawiłą historię. Na nowych dialogach zdecydowanie najbardziej zyskują nasi towarzysze boju, którzy w porównaniu do wersji z 2006 roku, nareszcie zyskują nieco osobowości. Zdecydowany wpływ na ten aspekt gry miała także zmiana aktorów głosowych, którzy tchnęli nieco ducha w i tak już barwne postacie.

Na uwagę zasługuje również wyróżniająca się ścieżka dźwiękowa, która oprócz oryginalnych kompozycji autorstwa Shoji Meguro została wzbogacona o nowe, prześladowujące mnie po dziś dzień utwory. Jazzowe brzmienia „Color Your Night” potrafią skutecznie umilić codzienne obowiązki w grze (a także poza nią), natomiast zagrzewające do walki „It’s Going Down Now” sprawia, że miejscami nudne i powtarzalne walki stają się czystą przyjemnością. I choć na początku zmiana wokalistki prowadzącej nieco mnie irytowała, finalnie dałem się przekonać wokalom Azumi Takahashi. Cieszę się, że twórcy z takim szacunkiem podeszli do kultowej muzyki znanej także z innych odsłon serii.

Odświeżenia doczekała się także wcześniej wspomniana walka, która pozwala nam w pełni wykorzystać potencjał zdobywanych Person. Jednakże ten aspekt gry, w mojej opinii, uległ zdecydowanie najmniejszemu zmianom. Podobnie jak w Pokemonach, nasze zadanie polega na znalezieniu słabości przeciwnika. Gdy już odkryjemy, na jakie ataki podatni są nasi adwersarze, walka staje się formalnością. Jak widać niedociągnięcia się zdarzają nawet weteranom. Jednakże gorąco zachęcam was – Persona to naprawdę dobry tytuł, który warto poznać przynajmniej ze względu na fabułę.

Piotr RYDZ



Walka od strony graficznej wygląda spektakularnie.

Przez wieki powstały liczne teorie na temat emocji i ich definicji. Czym są emocje, ile ich jest, skąd się biorą i jak powstają – to pytania, na które wciąż brak jednoznacznych odpowiedzi. Problem w tym, że emocje są subiektywne i odmiennie rozumiane w różnych kulturach. Zajmują się nimi psychologowie, terapeuci, psychiatry, neuronaukowcy, socjologowie i historycy, co umożliwia przedstawienie wielorakich perspektyw.

Emocje towarzyszą nam od urodzenia. Jako dzieci wyrażamy potrzeby płaczem, licząc na reakcję dorosłych. Jeśli są zaniebawiane, może to wpłynąć na nasz rozwój. Choć nie pamiętamy wczesnych doświadczeń świadomie, nasz mózg zapisuje je poprzez struktury emocjonalne. W dzieciństwie emocje służą komunikowaniu potrzeb, co wpływa na styl więzi i relacje w dorosłym życiu. W wieku nastoletnim uczymy się dzięki emocjom nawiązywać kontakty i przewidywać zachowania innych. Naukowe badanie emocji jest trudne, choć nie niemożliwe. Emocje manifestują się w myślach, zachowaniach i fizjologii, a my możemy je wyrażać przez sztukę, muzykę, poezję lub słowa.

Skąd się biorą emocje?

Istnieje pokaźna liczba teorii dotyczących powstawania emocji, z których wiele pozostaje w sferze spekulacji i nie zostało potwierdzonych naukowo. Jedna z nich mówi, że powstają w mózgu i muszą być wyrażone, aby uniknąć negatywnych skutków ich „blokowania się” w ciele. Ta idea pochodzi z dawnej hipotezy, którą popierał między innymi Zygmunt Freud. Emocje nie są substancjami ani hormonami, które można obiektywnie zmierzyć – są subiektywne i zależne od naszego fizycznego oraz psychicznego samopoczucia. Mimo tego popularnym mitem jest istnienie sześciu uniwersalnych emocji: złości, smutku, strachu, wstrętu, zaskoczenia i radości. Różni badacze wielokrotnie próbowali udowodnić swoją tezę, identyfikując owe odczucia poprzez charakterystyczne wyrazy twarzy, takie jak grymasy, zmarszczki i skurcze mięśni. Koncepcja ta ma swoje korzenie w pracy Karola Darwina „O wyrazie uczuć u człowieka i zwierząt”, w której Darwin twierdził, że emocje i ich ekspresje są prądową częścią ludzkiej natury. Geolog sugerował, że wszyscy lu-

dzie, a nawet niektóre zwierzęta, okazują emocje w podobny sposób. Porównał mimikę do szczątkowej kości ogonowej, sugerując, że wyrazy twarzy są produktami ewolucji, które nie pełnią już żadnej funkcji, podobnie jak skrzydła u strusia.

Koncepcja Darwina z 1872 roku zainspirowała naukowców w latach 60. XX wieku do zbadania sześciu podstawowych emocji. W tym celu postanowili sprawdzić, czy każda emocja ma swój charakterystyczny grymas, przygotowując zdjęcia aktorów prezentujących wyrazy złości, smutku, zaskoczenia, strachu, wstrętu i radości. Złość utożsamiano z marszczeniem brwi i czoła, napięciem na twarzy oraz zaciśniętymi ustami. Smutek miał powodować opadanie kącików ust, zmarszczki na brodzie, a także ściągnięcie brwi. Zaskoczenie charakteryzowało się szeroko otwartymi oczami i ustami, uniesionymi brwiami. Strach wyglądał podobnie, ale z bardziej ściągniętymi brwiami i węższymi ustami. Wstręt to zmarszczony nos i usta oraz przymrużone oczy. Radość wyrażała się szerokim uśmiechem, zmarszczkami wokół oczu i uwypuklonymi policzkami. Ów ekspresje były jednak pozowane, a nie naturalne. Choć można je łatwo naśladować, w rzeczywistości

„wiają się spontanicznie. Dzieło Pixara sugeruje również, że ekspresje powstają w konkretnych obszarach mózgu, co jest pokazane przez postacie pociągające za odpowiednie wajchy. Tymczasem emocji nie da się zlokalizować w jednym punkcie mózgu, ani zbadać pod mikroskopem czy skanerem. To złożone procesy obejmujące różne sieci neuronalne, hormony, neuroprzekaźniki i sygnały wysyłane przez całe ciało.

rzadko przyjmujemy tak wyraziste miny. Często też ukrywamy nasze emocje w odpowiednich sytuacjach, co pokazuje, że nie zawsze są widoczne na twarzy. Inną perspektywę prezentują badania nad emocjami u niemowląt, pokazując, że ich ekspresje mimiczne w sytuacjach wywołujących strach lub złość były nie do rozróżnienia. Odczytywano je raczej z kontekstu i mowy ciała niż z mimiki. Natomiast uczestnicy badań spoza zachodniego kręgu kulturowego mieli trudności z przyporządkowaniem twarzy do odpowiednich emocji, co podważa tezę o ich uniwersalnym charakterze.

W głowie się nie mieści

Teoria podstawowych emocji, rozwijana przez dziesiątki lat, wpłynęła na sposób, w jaki dzisiaj

mówimy o naszych odczuciach. Stała się również popularnym tematem w popkulturze, czego przykładem jest nagrodzona Oscarem animacja „W głowie się nie mieści”. Twórcy filmu konsultowali się z Paulem Ekmanem, współautorem koncepcji podstawowych emocji, aby wiernie przedstawić pięć z nich: Gniew, Smutek, Radość, Odraza i Strach. Każdy afekt był reprezentowany przez postać o odpowiednim kolorze: Gniew był czerwony, Smutek – niebieski, Radość – żółta, Odraza – zielona, a Strach – fioletowy. Choć film był powszechnie chwalony za wprowadzenie psychoedukacji do mainstreamu, neuronaukowcy, wskazali na pewne nieścisłości w jego przekazie. Przede wszystkim, bohaterowie animacji wzmocniają przekonanie, że

emocje podstawowe są monolitami, bez miejsca na niuanse czy współwystępowanie różnych uczuć jednocześnie. Film sugeruje również, że każda emocja ma swoje znaki szczególne, co przecież podważają badania naukowe. W rzeczywistości, każdy afekt jest unikatowy i może składać się z różnych komponentów, wspólnych dla kilku uczuć.

„W głowie się nie mieści” utrwała stereotyp mówiący, że wszyscy ludzie na świecie przeżywają te same uczucia w identyczny sposób. Kolejny mit to przekonanie, że afekty są wyzwalane przez czynniki zewnętrzne. Postacie reprezentujące emocje w animacji siedzą za panelem kontrolnym i uruchamiają odpowiednie reakcje na bodźce, sugerując, że to odruchy automatyczne. Jednakże emocje są konstruowane na podstawie różnych aspektów doświadczenia i nie zawsze pojawiają się spontanicznie. Dzieło Pixara sugeruje również, że ekspresje powstają w konkretnych obszarach mózgu, co jest pokazane przez postacie pociągające za odpowiednie wajchy. Tymczasem emocji nie da się zlokalizować w jednym punkcie mózgu, ani zbadać pod mikroskopem czy skanerem. To złożone procesy obejmujące różne sieci neuronalne, hormony, neuroprzekaźniki i sygnały wysyłane przez całe ciało.

Edukacja najmłodszych

W czerwcu 2024 roku doczekaliśmy się kontynuacji hitu Pixara. „W głowie się nie mieści 2” oferuje głębsze poznanie emocji i ich złożoności. Pierwsza część koncentrowała się głównie na podstawowych uczuciach, takich jak: radość, smutek, gniew, strach i odraza, pokazując, jak każde z nich wpływa na życie głównej bohaterki, Riley. Jednak w miarę jej dorastania, pojawiają się coraz bardziej złożone i zniuansowane odczucia, których doświadczenie staje się częścią jej codzienności. Nowa część filmu skupia się na bardziej skomplikowanych aspektach, takich jak: tęsknota, wstyd, zazdrość czy nostalgia. Te uczucia często towarzyszą procesowi dorastania i samopoznania, a ich zrozumienie może być kluczowe dla rozwoju osobistego oraz emocjonalnego. Dzięki animacji możemy zgłębić te tematy wraz z Riley, identyfikując się z jej doświadczeniami i odkrywając, jak radzi sobie z coraz bardziej złożonymi emocjami.

Warto zauważyć, że pierwsza część filmu cieszyła się ogromnym zainteresowaniem nie tylko ze strony dzieci, ale także dorosłych. Kontynuacja animacji jest świetną okazją do dalszej refleksji nad własnymi uczuciami oraz sposobem ich wyrażania. Jak emocje wpływają na nasze relacje z ludźmi? Czy sabotują nasze życiowe decyzje? Te pytania stają się centralnymi tematami filmu, który prowokuje do dalszych dyskusji na temat natury emocji i ich roli w naszym życiu.

Szymon FILIPIAK



Emocje towarzyszą nam od urodzenia

Zdjęcie: pixabay.com

Bywa określany „japońskim Disneyem”, jednak to w zamierzeniu nobilitujące określenie, w pewien sposób mu uwłacza.

Hayao Miyazaki niewątpliwie należy do najbardziej rozpoznawalnych postaci związanych ze współczesną animacją. Współtwórca studia Ghibli nie jest wyłącznie zagranicznym odpowiednikiem słynnego Amerykanina, lecz twórcą posiadającym własny język artystyczny. Podczas tegorocznego sezonu nagród triumfował ze swoją produkcją „Chłopiec i czapla”.

Miyazaki to twórca zarówno głęboko zakorzeniony w japońskiej tradycji i kulturze, jak i uniwersalny oraz otwarty na wpływy zachodnie. Być może jest to jedna z kluczowych składowych jego sukcesu, ogromnego zarówno w Japonii, jak i na innych kontynentach. Filmografia artysty jest jednocześnie bardzo spójna, konsekwentnie poruszająca określone, interesujące reżysera zagadnienia. Refleksje nad naturą oraz jej relacji z człowiekiem; ekologia; pacyfizm; kult prostego, pracowitego, uczciwego życia; nawiązania do japońskiej mitologii; ciepło i optymizm, które sprawiają, że nawet czarne charaktery rzadko kiedy są postaciami w pełni negatywnymi (wyjątkiem może tu być Muska z „Laputa – podniebny zamek”) – to motywy stale przewijające się w jego działalności artystycznej.

Zatrzymać samochód

Zainteresowania Miyazakiego nie pozostają bez związku z jego życiorysem. Wyraźnym przykładem jest tutaj kwestia wątków wojennych. Hayao urodził się w 1941 roku. Pamięta bombardowania, jednak okres wojny był dla jego rodziny czasem dostatku i dobrobytu. Ojciec reżysera pracował bowiem jako menadżer fabryki produkującej części do samolotów bojowych, co wzbudzało w jego synu mieszane uczucia. Wspomnieniem, które szczególnie utrwaliło się w jego pamięci był moment, w którym rodzina Miyazakich uciekała z bombardowanego miasta w przepelnionym samochodzie, po drodze natrafiając na ich sąsiadkę błagającą ich o podwózkę. Samochód nie zatrzymał się, co wryło się w głowę wówczas czteroletniego Miyazakiego na długie lata, stając się ważnym elementem jego artystycznej twórczości. Miyazaki nie chciał koncentrować się na pesymizmie i bolesnych dla ga-



Hayao Miyazaki do dziś przyciąga wielką widownię.

tunku ludzkiego diagnozach. Chciał robić filmy o dzieciach, które, gdyby znalazły się w takiej sytuacji jak on, to postąpiłyby właściwie, zatrzymując auto. Wielu z jego bohaterów jest niemal nieskazitelnie pozytywnych, a animacje nawet jeżeli poruszają trudną tematykę, przepełnia ciepło, optymizm i wiara w optymistyczne zakończenie. Na papierze może to brzmieć tandetnie, a u mniej zdolnego twórcy takie pomysły mogłyby przerodzić się w produkcje wyjątkowo naiwne i odebrane od rzeczywistości. Miyazaki unika tej pułapki. Oglądając jego dzieła, łatwo dać im się porwać, bez reszty zanurzyć w przedstawionym świecie, zapałać szczerą sympatią do postaci i przyjmować tę wyidealizowaną wizję bez żenady, za to z zachwytem i poruszeniem.

Studio Ghibli

Japończyk najbardziej kojarzony jest z kultowym studium Ghibli, którego jest współzałożycielem. Pierwsze filmy zrealizował jednak jeszcze przed powstaniem wytwórni. Jego debiutem był „Lupin Trzeci: Zamek Cagliostro” z 1979 roku, później zrealizował film „Nausicaä z Doliny Wiatru”, który choć formalnie powstał przed Ghibli, to dziś zaliczany jest już często do produkcji studia. Jest ona bowiem wyjątkowo bliska zarówno stylistycznie, jak i tematycznie filmom, które ukazywały się później pod szyldem grupy. Szczególnie kłania się tutaj „Księżniczka Mononoke”,

Twórca **totalny**

„Chłopiec i czapla” zapowiadany był jako ostatni film Hayao Miyazakiego, jednak nie byłaby to pierwsza niespełniona deklaracja w jego karierze. Artysta podobno już pracuje nad kolejną animacją, która z pewnością zgromadzi w przyszłości ogromną widownię.

z którą „Nausicaä” wiele łączy. Przede wszystkim – już tutaj pojawiły się wątki ekologiczne oraz pacyfistyczne, przybierające przede wszystkim formę oskarżenia ludzkości o destrukcję oraz pochwałę wspaniałości natury. Nadzieję niesie tu przede wszystkim tytułowa bohaterka – przykład tego, jak reżyser potrafi tworzyć postacie wręcz kryształowe, które jednak odbiera się jako pełnowymiarowe i świetnie wykreowane. Post-apokaliptyczny świat wraz ze swoim krajobrazem, mitologią i obyczajami to dodatkowy atut anime. Warto wspomnieć także, że animacja stanowiła adaptację dwóch pierwszych tomów mangi autorstwa samego Miyazakiego, która ostatecznie przez 12 lat doczekała się siedmiu tomów.

Dwie następne produkcje okazały się niezwykle ważne w jego artystycznym dorobku. „Laputa – podniebny zamek” to pierwszy film zrealizowany w ramach studia Ghibli i podobnie jak „Nausicaä” – wymieniany jest wśród jego największych osiągnięć. Podobne opinie padają na temat „Mojego sąsiada Totoro”, z czym jednak osobiście mniej się zgadzam. Poszczególne

sceny są naprawdę świetne; tytułowy stwór nie bez przyczyny został popkulturową ikoną; głównych postaci trudno nie polubić, tak samo jak przepelniającego film, ujmującego ciepła. Z drugiej strony zamiast zarysowanej fabuły, mamy tylko obserwację wycinku z życia rodziny Kusakabe, a sam film sprawia wrażenie aż nazbyt sielankowego, jakby skierowany był przede wszystkim do młodszego odbiorcy, a nie również do starszego widza. Bardziej przekonał mnie nieco późniejszy i mniej znany „Szarłatny pilot”. Choć podczas seansu nie ma się wątpliwości, kto odpowiada za jego wyreżyserowanie, tak Porco Rosso to nietypowy dla reżysera protagonista. Cyniczny mistrz ciętej riposty, skrywający pod maską nieprzystępnego, eastwoodowskiego twardziela trudną historię oraz niechęć i pogardę do samego siebie mógł być zaskoczeniem, tymczasem okazał się przy tym jednym z głównych powodów, dla których jest to film naprawdę dobry. Miyazaki zresztą nie po raz pierwszy pokazał wysoki poziom w tworzeniu postaci. Świetnie potrafi on zaprezentować charakter swoich boha-

terów oraz relacje między nimi, unikając ekspozycji w dialogach.

Wielka trójka?

W 1997 roku miał powstać, według pierwotnych planów, ostatni film Japończyka. „Księżniczka Mononoke” okazała się jednocześnie jego najlepszym i najdojrzałszym dotychczas dziełem. Ponownie istotny jest tutaj konflikt pomiędzy człowiekiem, a naturą, ale jego ujęcie jest znacznie głębsze niż dotychczas. Przede wszystkim ucieka ono od jednoznaczności. Widz obserwuje sytuację przez pryzmat Ashitaki, który także nie opowiada się po żadnej ze stron – ani człowieka, ani natury; zamiast tego balansuje pomiędzy nimi, poznaje obie perspektywy, postuluje pokój. Ludzkość oczywiście jest tutaj oskarżana, jednak natura także wcale nie nosi miana idealnej. Wróg jest jeden – nienawiść. Film Miyazakiego to studium nad jej niszczytelką siłą. Całość pochyla się przy tym nad genezą, istotą i charakterem rywalizacji sił człowieka i przyrody, jednocześnie stawiając pytanie, czy ich harmonijna koegzystencja jest w ogóle możliwa. Pytanie to można rozszerzyć. Podjęcie problematyki niszczytelnej siły nienawiści i zobrazowanie walki takiego rodzaju budzi skojarzenia także z innymi konfliktami, w których wzajemnych krzywd zostało wyrządzonych tak wiele, że poszukiwania porozumienia są wyjątkowo trudne. W „Księżniczce Mononoke” znajdziemy kolejne doskonale wykreowane postacie, mamy: fantastyczną tytułową księżniczkę; panią Eboshi, której wprowadzanie i odślanianie kolejnych oblicz to prawdziwy majstersztyk oraz Ashitakę, który wspólnie sprawdza się jako protagonista powieści.

Jeszcze większy sukces osiągnęło oscarowe „Spirited Away: W krainie bogów”. Film, przedstawiający dzieje dziewczynki Chihiro w tytułowej krainie to kolejny pokaz znakomitej reżyserii, oszałamiającej kreacji świata i prawdziwej kinowej magii. Jednocześnie oprócz tradycyjnych, lecz tym razem zawartych na dalszym planie, wątków ekologicznych, mamy do czynienia z krytyką konsumpcjonizmu, kapitalizmu oraz wyrażaniem potrzeby posiadania i określenia własnej tożsamości. Wątki te zostały doskonale wkomponowane w fabułę. Swobodna adaptacja powieści Diany Wynne Jones „Ruchomy zamek Hauru” podtrzymała dobrą passę, także stając się uznaną i cenioną produkcją.

„Chłopiec i czapla” zapowiadany był jako ostatni film Hayao Miyazakiego, jednak nie byłaby to pierwsza niespełniona deklaracja w jego karierze. Artysta podobno już pracuje nad kolejną animacją, która z pewnością zgromadzi w przyszłości ogromną widownię. Do tego wystarczy samo nazwisko reżysera – właśnie taką renomę wyrobił sobie na przestrzeni 45 lat działalności.

Aleksander GRĘDA

W obliczu katastrofy

Film „Niemożliwe” J.A. Bayona wpisuje się w gatunek katastroficzny, skupiając się na sile więzi rodzinnych na tle dramatycznych wydarzeń. Opowiada prawdziwą historię rodziny, która przetrwała tsunami w 2004 roku, pokazując, jak ekstremalne sytuacje wpływają na relacje między bliskimi. Praca nad efektami wizualnymi i narracyjnymi w filmie pomaga w autentycznym przedstawieniu doświadczeń bohaterów, uwypuklając emocje i wyzwania, z jakimi musieli się zmierzyć.

Film katastroficzny to odmiana gatunkowa filmu grozy, której głównym tematem jest zagrożenie jednostek i grup ludzkich, a centralnym elementem kompozycyjnym – spektakularna katastrofa spowodowana przez niszczycielskie działania żywiołów, pożarów, tsunami czy huraganów. Greckie słowo „katastrofa” (katastrophe, czyli „przewrót”) oznacza nagłe, nieoczekiwane wydarzenie niosące tragiczny koniec. Może to być nieszczęście, klęska i śmierć pojedynczego człowieka, jak w tragedii greckiej, lub masowa zagłada, kataklizm powodujący zniszczenie świata i śmierć tysięcy ludzi. Film katastroficzny, podobnie jak horror i thriller psychologiczny, wchodzi w skład mrocznej, ale niezwykle fascynującej kategorii „kina lęku”, w której ludzie symbolicznie pokonują swoje podświadome obawy.

Interesującym przykładem filmu katastroficznego jest produkcja „Niemożliwe” z 2012 roku, wyreżyserowana przez J.A. Bayona. Film opowiada prawdziwą historię rodziny Belónów, która w 2004 roku przetrwała tsunami w Tajlandii. Proces produkcji trwał prawie dwa lata, a zdjęcia realizowano przez 25 tygodni na ponad 60 planach filmowych, w Hiszpanii i Tajlandii. Bayona dążył do maksymalnego realizmu, aby oddać hołd wszystkim, którzy przeżyli ten kataklizm. Aby odtworzyć potęgę tsunami, ekipa współpracowała z sześcioma firmami zajmującymi się efektami specjalnymi. Tworzenie dziesięciominutowej sekwencji przedstawiającej pierwsze fale zalewające wybrzeże Tajlandii trwało rok, a na potrzebę filmu wykorzystywano dziennie ponad 35,000 galonów wody. Przeprowadzono liczne testy, aby stworzyć drapieżne fale, jednocześnie zapewniając bezpieczeństwo aktorom.



Krajobraz zniszczenia po tsunami z 2004 roku

Autor zdjęć, Óscar Faura, miał za cel wywołać u widzów uczucie tropikalnego żaru i wilgoci charakterystycznych dla Tajlandii, koncentrując się na szczegółowym ukazaniu otoczenia. Bohaterowie, będąc w stałym ruchu, zmuszeni byli do filmowania scen w różnych warunkach – w wodzie, na wodzie, przy użyciu kranów, podwodnych kamer oraz podczas lotów nad lądem i morzem. W pewnym momencie równocześnie pracowały trzy ekipy filmowe, co stanowiło wyzwanie w utrzymaniu spójności i płynności wizualnej narracji. Faura tłumaczył, że dążył do kontrolowania kontrastu pomiędzy obrazem a intensywnością światła, aby zapewnić płynność przejścia między poszczególnymi ujęciami. Na planie wykorzystywano różnorodne strategie pracy, które to umożliwiły. Jedną z nich było umieszczanie operatora wraz z aktorami pod wodą, dla których przygotowywano specjalne platformy w zbiorniku. Operator poruszał się równoległe do aktorów, co przyczyniało się do

„Decyzja producentów filmowych o adaptacji historycznych wydarzeń tsunami z 2004 roku wiąże się z pewnym dysonansem, gdyż niesie za sobą konieczność uwzględnienia delikatności materii, która wciąż stanowi traumatyczny epizod w zbiorowej świadomości społeczności Azji Południowo-Wschodniej. Reżyser, kreując opowieść o rozdzielającym rodzinę tsunami, inspirował się realnymi zdarzeniami, starając się zrównoważyć narracyjny gest w celu uniknięcia zarzutów o nadmierną dramatyzację.

uzyskania efektu wizualnego o dużej sile oddziaływania. Dodatkowo, wykorzystano specjalne szyny oraz teleskopowy kran do manipulacji najnowocześniejszymi, ręcznie sterowanymi kamerami podczas ujęć z powietrza.

„Niemożliwe” w zaskakująco szybkim tempie pokazuje katastrofę. Reżyser nie pozwala bohaterom zbyt długo cieszyć się spokojem wakacyjnej sielanki, niemal natychmiast konfrontując ich z gwałtownym żywiołem wody. Rezygnuje z

wydłużonego wstępu, bezceremonialnie pogrążając ich w dramatycznej sytuacji. Semantykę żywiołu dobitnie przekazuje obraz: dynamicznie zmieniające się kadry, przeplatane się z długimi ujęciami kamery, rejestrującej zastygłych w swej fizycznej niemocy, przerażonych ludzi. Wciągnięci w wir żywiołu pechowcy szarpani są skrajnymi emocjami: od niepokoju poprzez strach, panikę czy wreszcie zwątpienie w uzyskanie zbawczej pomocy.

Więzi między członkami rodziny stanowią centralny element narracji. Maria i jej najstarszy syn Lucas zostają rozdzieleni od reszty bliskich przez falę tsunami, co stawia ich w ekstremalnie trudnej sytuacji. Pomimo ciężkich obrażeń, kobieta koncentruje się na przetrwaniu i bezpieczeństwie syna, co świadczy o jej nieustającej trosce. Lucas natomiast dojrzuje emocjonalnie, przejmując odpowiedzialność za opiekę nad matką i pomagając innym poszkodowanym. W międzyczasie Henry, ojciec, pozostaje z dwoma młodszymi synami, starając się zapewnić im bezpieczeństwo w chaosie. Jego desperackie poszukiwania żony i najstarszego syna ukazują głębokie przywiązanie i niezłomną nadzieję. Każda z tych relacji odgrywa kluczową rolę w procesie przetrwania i odzyskiwania nadziei, jednocześnie pokazując, jak kryzys może wzmocnić więzi między bliskimi osobami. Przez pryzmat tych interakcji widzowie obserwują, jak rodzina, mimo rozdzielenia i niepewności, znajduje siłę w miłości i wzajemnym wsparciu.

Decyzja producentów filmowych o adaptacji historycznych wydarzeń tsunami z 2004 roku wiąże się z pewnym dysonansem, gdyż niesie za sobą konieczność uwzględnienia delikatności materii, która wciąż stanowi traumatyczny epizod w zbiorowej świadomości społeczności Azji Południowo-Wschodniej. Reżyser, kreując opowieść o rozdzielającym rodzinę tsunami, inspirował się realnymi zdarzeniami, starając się zrównoważyć narracyjny gest w celu uniknięcia zarzutów o nadmierną dramatyzację. Jednakże istnieją głosy amerykańskich krytyków, implikujące, że film „Niemożliwe” może skłaniać się ku perspektywie nadziei, wynikającej z tragicznych wydarzeń, które pochłonęły życie liczby przekraczającej dwieście tysięcy jednostek, co podsyca dyskusję dotyczącą etyki adaptacji filmowych na tle tak trudnych tematów.

Poprzez ukazanie relacji rodzinnych w obliczu katastrofy, Bayona przekonuje, że więzi międzyludzkie mogą przetrwać nawet największe próby. Jego staranne użycie tradycyjnych narzędzi narracyjnych, podobnych do tych z „Titanica”, potęguje siłę przekazu filmowego. Ponadto, praca nad efektami wizualnymi i dźwiękowymi dodaje tytułowi autentyczności i dramatyzmu, umożliwiając widzom wejście w emocje i doświadczenia bohaterów. Ostatecznie, „Niemożliwe” nie tylko eksploruje etyczne zagadnienia związane z adaptacją prawdziwych tragedii na ekranie, ale także podkreśla siłę ludzkiego ducha i solidarności w obliczu niespodziewanych katastrof.

Szymon FILIPIAK

Stocznia Gdańska po raz kolejny stała się przestrzenią zagospodarowaną przez Mystic Festival i muzykę metalową. Impreza rozpoczęła się 5. czerwca, tradycyjnie od „Warm Up Day” (na który wstęp mieli tylko posiadacze czterodniowych karnetów), a zakończyła 8. czerwca. Oprócz zabawy pod sceną, na uczestników wydarzenia czekały stoiska handlowe, seanse filmów klasy B., spotkania Mystic Talks czy wystawa poświęcona metalowym zinom.

Ja wybrałem się w tym roku tylko na jeden dzień, czyli piątek. Zainteresowany byłem przede wszystkim czterema następującymi po sobie koncertami: Paradise Lost, Accept, Megadeth i Furią. Poza nimi tego dnia zaprezentowały się także grupy jak: Crowbar, Leprous czy Life of Agony. Paradise Lost wejść na scenę główną mieli o 20:15. Niestety koncert rozpoczął się z opóźnieniem, co też przyczyniło się do wykreślenia z setlisty dwóch utworów – „Pity the Sadness” i „Eternal”. Repertuar występu był dość szczególny, bowiem został na wybrany przez fanów w internetowym głosowaniu. Wyniki były trzymane w tajemnicy, a osoba, która przewidziała, jak będą one wyglądały otrzymała w nagrodę plakat z podpisanymi muzyków. Oczywiście, choć inicjatywa oddania fanom decyzyjności z pewnością jest miłym gestem w ich stronę, to szczególnie w przypadku zagranicznych zespołów w pełni zrozumiałe jest, że w wynikach dominują najpopularniejsze i zwykle obecne na koncertach utwory. Warto jednak odnotować, że „Mouth” i „Small Town Boy” wykonane zostały pierwszy raz od 2018 roku. Sam występ spotkał się niestety z nienajlepszym odbiorem. Nie było to odczuwalne pod sceną, ale w późniejszych opiniach przewijały się krytyczne głosy odnośnie zarówno nagłośnienia, jak i formy muzyków. Z tym pierwszym trudno się nie zgodzić. Na początku wyjątkowo dały o sobie znać problemy techniczne, najbardziej widoczne w odmawiającym posłuszeństwa mikrofonie. Z czasem sytuacja zaczęła się poprawiać, a brzmienie robić bardziej selektywne. Natomiast co do samego Paradise Lost – trzeba przyznać, że z dyspozycją wokalną Nicka Holmesa faktycznie było różnie i obok momentów, w których pokazał się z dobrej strony (jak growl w „No Hope In Sight”), pojawiały się też te zaśpiewane gorzej. Mimo wszystko, w pamięci pozostanie mi jednak euforia w jaką wprawiły mnie: jeden z moich ulubieńców, czyli „Hallowed Land”, odpowiednio mocne „Forever Failure” i „Embers Fire” czy wieńczący całość wspomniany



Mystic Festival to największe tego rodzaju metalowe wydarzenie w Polsce

„Small Town Boy”, który zdecydowanie pozwolił się wybawić.

Restless and Wild

Koniec show Paradise Lost pokrywał się z początkiem koncertu Accept, który odbył się na drugiej najważniejszej scenie festiwalu, czyli Park Stage (tradycyjnie było ich pięć – trzy plenerowe i dwie klubowe). Wśród muzyków jednej z najstojniejszych niemieckich formacji heavy metalowych z oryginalnego składu pozostał tylko gitarzysta Wolf Hoffmann. Niektórym zapewne wciąż trudno przyjąć, że roli frontmana nie pełni już Udo Dirkschneider, jednak Mark Tornillo to z pewnością godny następca. Śpiewając w Accept od piętnastu lat stał się ważną częścią historii zespołu, a wokalnie bardzo dobrze wpasował się w jego muzykę. Cały skład, nawet jeżeli tylko Hoffmann pamięta czasy największej świetności zespołu, czyli lata 80., prezentował znakomite zgranie, którego efektem był między innymi ekscytujący pojedynek gitarowy podczas „Pandemic”. Dodajmy do tego świetny kontakt z publiką, podtrzymywany przez wszystkich obecnych na scenie muzyków i otrzymamy występ, który pokazał koncertowy potencjał tradycyjnego heavy metalu. Największe wrażenie wywarły te najbardziej znane utwory Accept, na czele z „Princess of the Dawn” – doskonale budującym napięcie, energetycznie wykonanym, angażującym publiczność we wspólne śpiewanie, „Metal Heart”, za którego sprawą jednym z najgłośniejszych śpiewanych fragmentów koncertu była melodia „Dla Elizy” Beethovena, która cytowana jest w gitarowej solówce czy idealnie dobrany duet na zakończenie – „Fast

” Pomimo kradzieży tak częstych, że sam Mystic wystosował oświadczenie o zwiększeniu ostrożności i prawdopodobieństwie grasowania zorganizowanej grupy – opinie uczestników wydarzenia potwierdzają, że tegoroczną edycję można zaliczyć do udanych, a wysoka frekwencja dodatkowo to ukazuje.

as a Shark” i sztandarowe „Balls to the Wall”. Pomimo, że fani mogli poczuć się usatysfakcjonowani, pod sceną w pewnym momencie początkowy ścisk zastąpiła spora przestrzeń. Powodem nie była jednak raczej niska ocena występu, tylko chęć zajęcia jak najlepszych miejsc na headlinerze tego dnia – Megadeth.

Symfonia zniszczenia

Thum wyczekujący ekipy Dave’a Mustaine’a był iście ogromny nawet jak na standardy festiwalu. Zespół rozpoczął od „The Sick, the Dying... and the Dead!” – tytułowego utworu z najnowszego albumu, wydanego w 2022 roku. Zagrano z niego jeszcze „We’ll Be Back”. Poza tym usłyszeliśmy właściwie same klasyki Megadeth. Najliczniejszej reprezentacji doczekała się płyta „Countdown to Extinction”, z której wykonano utwór tytułowy – „Skin o’ My Teeth” oraz „Sweating Bullets” i obowiązkowy „Symphony of Destruction”. Poza tym nie zabrakło „Hangar 18”, „Tornado of Souls”, „Holy Wars... The Punishment Due”, „Peace Sells” (podczas którego na scenę wkroczyła maskotka zespołu – Vic Rattlehead) czy „A Tout Le Monde”. Zasadniczo słyszeliśmy więc szlagier za szlagierem. Z jednej strony, może zabrakło nieco więcej mniej oczywistych wyborów jak „Countdown to Extinction”, z drugiej – każdy zagrany ka-

walek to w końcu przykład naprawdę fantastycznego metalu i trudno na taki zestaw hitów narzekać. Zespół był w formie, brzmienie porywało swoją potęgą i mocą, a pod względem technicznego kunsztu Megadeth nie wychodzi z absolutnej czołówki gatunku. Mustaine zagrał rewelacyjnie, chociaż bardziej dyskusyjnie można nad tym, jak zaśpiewał. O ile takie „Sweating Bullets” zaskoczyło energią i zadziornością głosu Dave’a, tak były momenty, kiedy słychać było, że ma on już mniej siły. Choćby podczas refrenu „She-Wolf” obniżył nawet wyższe partie. Mówimy jednak o człowieku, który niedawno stoczył zwycięską walkę z rakiem. Biorąc pod uwagę okoliczności, i tak zaprezentował się z dobrej strony, nie tylko jako mistrzowski technicznie gitarzysta. Na koncert Megadeth na Mystic Festival liczyłem już w zeszłym roku, a kiedy doszło do niego teraz – ikona thrash metalu nie rozczarowała.

Polski akcent

Zakończeniem tego dnia festiwalu była dla mnie Furia – zespół, któremu w największym stopniu udało się przebić ze swoim wariantem black metalu do mainstreamu, nie idąc na żadne artystyczne kompromisy i nie tracąc szacunku oraz poważania w środowisku. Można się zastanawiać, czemu to właśnie na śląską grupę spadły największe laury (nominacja

do Paszportów Polityki, zaproszenia na Open’er czy Off Festival, udział w interpretacji „Wesela” w reżyserii Jana Klavy), bo przystępność i brak skłonności do eksperymentów nie zaliczają się do cech formacji. Jakość ich muzyki potwierdza jednak, że sukces przez nich osiągnięty jest w pełni zasłużony. Na żywo to połączenie black metalowej agresji, melancholii i przesiąkniętego Śląskiem charakteru sprawdziło się doskonale, a występ potrafił zahipnotyzować. Z transowego na swój sposób charakteru nie wybijała konferansjerka, Nihil ograniczał się do krótkich fraz, najczęściej „dziękuję”. Z jednej strony frontman, podobnie jak pozostali członkowie zespołu rozebrany do pasa i z corpse paintem na twarzy, sprawiał wrażenie pogrążonego na scenie w swoim świecie, z drugiej – częste stawanie na krawędzi sceny i spoglądanie w stronę publikę sprawiało, że nas do tego świata zapraszał.

Pomimo kradzieży tak częstych, że sam Mystic wystosował oświadczenie o zwiększeniu ostrożności i prawdopodobieństwie grasowania zorganizowanej grupy – opinie uczestników wydarzenia potwierdzają, że tegoroczną edycję można zaliczyć do udanych, a wysoka frekwencja dodatkowo to ukazuje. Nie zawiodły elementy, które już podczas poprzednich edycji przykuwały uwagę, jak organizacja przestrzeni czy dodatkowe atrakcje poza koncertami. Sam line-up był dość zróżnicowany, prezentując przekrój brzmień metalowych, z całą ich różnorodnością stylistyczną. Bilety Blind Bird na rok 2025 już są w sprzedaży, a ja oczekuję na ogłoszenia gwiazd przyszłorocznej edycji.

Aleksander GRĘDA

Po 12 latach największa sportowa impreza globu wraca na Stary Kontynent. Letnie Igrzyska Olimpijskie, bo to o nich mowa, po wizycie w 2016 roku w Brazylii i pięć lat później w Japonii, zagospodarują we Francji, a dokładniej w Paryżu. Nie ma wątpliwości, że będzie to okazja do wielu magicznych sportowych momentów.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że sport może być bardzo ważnym narzędziem politycznym. Z pewnością Emmanuel Macron nie omieszką wykorzystać tej imprezy właśnie do tego typu celów. Podczas swojej prezydentury udowodnił już bowiem, że również sport postrzega jako środek do zbijania kapitału politycznego. Koronnym przykładem są tutaj próby namówienia Kyliana Mbappe do pozostania w PSG, a także... starania, by wystąpił na Igrzyskach. W obu przypadkach głowa państwa była bezskuteczna. W czasach wielu niepokojów na arenie międzynarodowej, zorganizowanie tak wielkiej imprezy na najwyższym poziomie może podbudować wizerunek Francji i jej prezydenta jako silnych instytucji. Niestety nie jest to jedyny czynnik, przez który polityka będzie nieodłącznym elementem zbliżającego się sportowego święta. Bardzo palącą była bowiem kwestia rosyjskich i białoruskich sportowców, którzy ostatecznie zostali dopuszczeni do startów we Francji, ale pod neutralnymi symbolami. Zgodnie z decyzją Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, o czym w marcu pisały media, nie wezmą oni jednak udziału w ceremonii otwarcia. Brak flagi państwowej czy też hymnu nie zmie-



Paryż latem stanie się stolicą sportu

nia w każdym razie przynależności narodowej. Występy tych dwóch nacji mogą być przecież narzędziem politycznym dla ich macierzystych krajów.

Gwiazdy, rekordy i różnorodność

Skupmy się już jednak na sporcie. Ceremonia otwarcia odbędzie się 26 lipca, a imprezę zakończymy 11 sierpnia. Na przestrzeni niespełna trzech tygodni sportowcy z całego świata podejmą rywalizację w łącznie 329 konkurencjach, wyłonionych spośród 43 dyscyplin (lekkoatletyka liczona jako jedna dyscyplina). Tegorocznym debiutantem na olimpijskiej arenie jest breakdance. Jak zwykle, potężną dawkę emocji doświadczy zapewne lekkoatletyka, nieprzypadkowo nazywana królową sportu. Podziwianie tego, jak wybit-

” Niezależnie od występu naszych reprezentantów, czeka nas wspaniałe sportowe lato. Sportowcy z całego świata stoczą rywalizację w przeróżnych dyscyplinach. Za każdym z nich stoi unikalna życiowa historia.

ni lekkoatleci i lekkoatletki łamią kolejne niewiarygodne rekordy to nieodłączny element Igrzysk. Oczy sympatyków tej dyscypliny będą szczególnie zwrócone na Armanda Duplantisa. Szwed konsekwentnie szlifuje rekord świata w skoku o tyczce, który wynosi obecnie 6,24 metra. Pytaniem nie jest to, czy zdobędzie złoto, lecz czy ustanowi kolejny rekord. Z zainteresowaniem przyjrzymy się też konkurencjom sprinterskim oraz biegom na dłuższe dystanse, pchnięciu kulą, skokowi

wzwyż, rzutowi młotem itd. Piękno Igrzysk jest jednak również zdefiniowane przez różnorodność innych dyscyplin, w tym takich, które na co dzień nie mają wielu obserwatorów, ale podczas tak ważnej imprezy zyskają prestiżowy status i wygenerują nieprzeciętne zainteresowanie. Będziemy także śledzić zmagania w powszechnie znanych dyscyplinach, takich jak m.in.: kolarstwo, koszykówka, piłka nożna, piłka ręczna, siatkówka czy tenis. Nie zabraknie przy tym ich najwybitniejszych

przedstawicieli. Szczególnie warto wspomnieć o koszykówce, bo Amerykanie mają zabrać do Francji największe gwiazdy parkietów NBA, co nie jest wcale regułą w przypadku USA podczas międzynarodowych koszykarskich imprez.

Szanse Polaków

Warto jeszcze się pochylić nad perspektywami medalowymi Polaków. W tym stuleciu podczas pięciu Letnich Igrzysk Olimpijskich Polacy zdobywali kolejno: 10, 11, 11, 11 i 14 medali. Osiągnięcie z Tokio przełożyło się na 17. miejsce w klasyfikacji medalowej. Jakie są perspektywy na zbliżenie się do tego wyniku w tym roku? Przypomnijmy, że konkurencje tenisowe zagospodarują na kortach Roland Garrosa, gdzie Iga Świątek w singlu wygrywała już czterokrotnie. Nieuniknionym jest więc, że będziemy wiązali ogromne nadzieje z jej występem, licząc nawet na złoty medal. Zagra ona również w mikście z Hubertem Hurkaczem, co na antenie „Dzień dobry TVN” potwierdził sam zainteresowany. Wprawdzie nie wiemy, jak ta dwójka należąca do światowej czołówki będzie ze sobą współpracować, ale te nazwiska po prostu działają na wyobraźnię. Ogromne oczekiwania ciąży też oczywiście na naszych siatkarzach, naznaczonych słynną już klątwą olimpijską. Począwszy od 2004 roku, kończyli bowiem rywalizację na Igrzyskach na etapie ćwierćfinału. Teraz podejmą kolejną próbę jej przełamania, rozumianą jako zdobycie medali, a najlepiej tych najcenniejszych. Nasi siatkarze to mistrzowie Europy z zeszłego roku, a także wicemistrzowie świata sprzed dwóch lat. Zwrócimy wzrok także na lekkoatletykę, w której na poprzednich Igrzyskach Polacy zdobywali medale m.in. w: biegu na 800 metrów (brąz – Patryk Dobek), chodzie (złoto – Dawid Tomala), rzucie młotem (złoto – Anita Włodarczyk i Wojciech Nowicki, brąz – Malwina Kopron i Paweł Fajdek), rzucie oszczepem (srebro – Maria Andrejczyk) oraz w sztafetach (złoto – sztafeta mieszana 4 x 400m, srebro – sztafeta 4 x 400m kobiet). Pozostałe konkurencje, w których Polacy stanęli na podium to: kajakarstwo, wioślarstwo, zapasy i żeglarstwo.

Niezależnie od występu naszych reprezentantów, czeka nas wspaniałe sportowe lato. Sportowcy z całego świata stoczą rywalizację w przeróżnych dyscyplinach. Za każdym z nich stoi unikalna życiowa historia. Będzie się to rozgrywało w magicznej aurze najważniejszej imprezy czterolecia, potrafiącej zdefiniować całą karierę sportowców i sportmenek. Dodatkowego smaczku dodaje fakt, że Letnie Igrzyska wracają do Paryża po 100 latach.



Siatkarze ponownie próbują przełamać klątwę olimpijską

Na początku czerwca odbyło się najważniejsze spotkanie sezonu 2023/2024. Po wymagającej przeprawie, Borussia Dortmund w finale Ligi Mistrzów zmierzyła się z Realem Madryt. Dla drużyny Ancelottiego wielkie mecze są chlebem powszednim. Nie mogła jednak zlekceważyć zespołu z Niemiec, która w europejskich pucharach ogrywała rywala za rywalem.

Spotkanie to miało wyjątkowy charakter nie tylko przez samą obecność drużyny Terzica, ale też ze względu na to, iż był to ostatni występ legendy Borussia. Marco Reus miesiąc przed finałem ogłosił, że jest to jego ostatni sezon w barwach klubu, który reprezentował od 2012 roku oraz wcześniej w młodzieżówce. Nigdy nie wygrał on ani Bundesligi, ani Ligi Mistrzów, mimo iż wielokrotnie jego drużyna kończyła te rozgrywki na drugiej pozycji (większość w lidze niemieckiej). Marco miał więc ostatnią szansę, by sięgnąć po prestiżowy tytuł ze swoją ukochaną drużyną. Finał ten był również wyjątkową okazją dla Realu Madryt, który jest najczęstszym triumfatorą tych rozgrywek w historii piłki. Przed tym meczem sięgnęli po trofeum aż 14 razy, jednak trzeba przyznać, że liczba 15 ładniej się prezentuje w statystykach.

W wyjściowych jedenastkach nie doświadczyliśmy większych zaskoczeń. Z uwagi na swoją przeciętną formę, na ławce zasiadł wcześniej wspomniany Marco Reus, a po drugiej stronie do podstawowego składu nie załapał się Andrij Łunin. Ukraiński bramkarz rozgrywał fenomenalny sezon i udział Realu w finale jest w dużej mierze jego zasługą, jednak na jego nieszczęście do zdrowia wrócił akurat Thibaut Courtois. Belg mimo ponad półrocznej kontuzji, ponownie udowodnił, dlaczego jest jednym z najlepszych na swojej pozycji. Wbrew przewidywaniom ekspertów, to Borussia jako pierwsza przejęła inicjatywę i rozpoczęła szturm na bramkę „Królewskich”. W ciągu kilku minut napastnicy niemieckiego klubu doprowadzili do trzech stuprocentowych sytuacji, których nie potrafili wykorzystać. Najpierw Brandt otrzymał świetne podanie w tempo od Füllkruga, jednak mając przed sobą tylko bramkarza, fatalnie spudłował. Po kilku minutach przed jeszcze lepszą szansą stanął Karim Adeyemi, który minął Courtoisa, jednak za daleko wyrzucił piłkę, w konsekwencji obrońca zdążył go dogonić i przeszkodzić w zdobyciu

Real znowu górą



Drużyna Realu celebrująca zwycięstwo

” Dla zdecydowanej większości piłkarzy był to najważniejszy mecz w karierze o niespotykanej dla nich wcześniej wadze. Borussia dysponuje wieloma dobrymi zawodnikami, którzy mają ogromny potencjał, natomiast trudno tam znaleźć piłkarzy klasy światowej.

bramki. W 22. minucie w słupek trafił wcześniej wspomniany napastnik Borussia, co wiele mówi o tym, jakiego pecha miała drużyna Terzica. Do końca pierwszej połowy po strzałach Adeyemiego

oraz Sabitiera jeszcze dwa razy musiał interweniować bramkarz „Królewskich”. Piłkarze Realu nie stworzyli żadnej groźnej akcji w ciągu pierwszych 45 minut, jednak znani są oni z „rozkręcania się”

wraz z upływem czasu. Do szatni schodziła więc jedna nienasycona drużyna, która mogła pluć sobie w brodę za zmarnowane okazje oraz zespół, który czekała krytyka w szatni ze strony trenera.

Rekord podbity

Ancelotti ponownie pokazał swój niesamowity kunszt trenerski, ponieważ Real Madryt w drugiej połowie był zgoła inną drużyną. „Los Blancos” zaczęli kreować sytuacje oraz grać odpowiedzialnie w obronie, natomiast Borussia straciła



Borussia godnie zaprezentowała się w finale

swoją zapał z pierwszych 45 minut. Przez całą drugą połowę stworzyła tak naprawdę tylko jedną bardzo groźną akcję, a pałeczkę przejęła drużyna z Hiszpanii. W 72. minucie Terzić zmienił Adeyemiego, a na boisku pojawił się Marco Reus. Ta decyzja była moim zdaniem błędna, ponieważ z boiska powinien zejść niewidoczny Sancho. Bez młodego skrzydłowego gra ofensywna Borussia wyglądała jeszcze mniej dynamicznie, a to właśnie po tej zmianie padła pierwsza bramka. Po wzorowo wykonanym rzucie różnym, piłkę do bramki skierował Dani Carvajal, tym samym podsumowując świetny sezon w swoim wykonaniu. Stracony gol wprowadził w szeregi drużyny z Dortmundu jeszcze większy chaos. Nie byli oni w stanie przejść przez obronę „Królewskich”, mieli również problemy z prostymi podaniami, czego konsekwencje odczuli mocno w 83. minucie. Wtedy to młody obrońca Borussia, Ian Maatsen popełnił karygodny błąd. Będąc kilka metrów przed własnym polem karnym, posłał piłkę prosto pod nogi Jude’a Bellinghama, który momentalnie zagrał do dobrze ustawionego Viniciusa. Brazylijczyk wykorzystał prezent i efektywnie zakończył akcję bramką. Mimo dwubramkowej przewagi rywala, zawodnicy z Dortmundu walczyli do końca. Udało im się nawet zdobyć bramkę, jednak nie została uznana, z powodu spalonego. Mecz zakończył się wynikiem 2:0, co oznaczało piętnasty puchar Ligi Mistrzów w gablotce na Santiago Bernabeu.

Wygrało doświadczenie

Analizując przebieg spotkania finałowego pomiędzy Realem a Borussia, przychodzi do głowy kilka wniosków. Pierwszym jest przewaga doświadczenia, które zdecydowanie przemawiało na korzyść drużyny z Hiszpanii. Nie licząc Bellinghama oraz Joselu, to każdy zawodnik „Królewskich” zdobył chociaż raz w karierze tytuł Ligi Mistrzów oraz wielokrotnie występował w decydującej fazie tych rozgrywek. Natomiast Terzić miał w swojej kadrze tylko jednego zawodnika, który mógł się pochwalić tym sukcesem, Emre Cana.

Dla zdecydowanej większości piłkarzy był to najważniejszy mecz w karierze o niespotykanej dla nich wcześniej wadze. Borussia dysponuje wieloma dobrymi zawodnikami, którzy mają ogromny potencjał, natomiast trudno tam znaleźć piłkarzy klasy światowej. Wyróżnić mógłbym tylko Hummelsa i Kobela, natomiast Ancelotti ze względu na obszerność swojej kadry, posadził kilku fantastycznych zawodników na ławce. Vinicius oraz Bellingham to główni kandydaci do zdobycia najbliższej Złotej Piłki, co mówi samo za siebie. Tegoroczne zwycięstwo Realu to tylko kolejny dowód na to, jak świetnie prowadzony jest ten klub.

Roch ORZECZOWSKI

Sen, który zamienił się w koszmar

Zeszły sezon miał być dla Lecha kolejnym znaczącym krokiem na przód. Po Mistrzostwie Polski i ćwierćfinale Ligi Konferencji Europy w dwóch kolejnych kampaniach, kibice marzyli, by połączyć ze sobą te sukcesy. Wysokie ambicje zostały jednak zweryfikowane niezwykle brutalnie.

Śledząc media społecznościowe przed startem minionej już kampanii, łatwo było odnieść wrażenie, że kibice nie wyobrażają sobie innego rezultatu niż triumf w lidze. Ich oczekiwania były w pełni uzasadnione. Silna kadra wzmocniona sensownymi na papierze transferami, udana końcówka wcześniejszych rozgrywek i trener, który zbudował swoją wiarygodność na europejskiej arenie, a na ligowym podwórku zdobył duże doświadczenie. Jak się okazało, ten ostatni czynnik obrócił się przeciwko Lechowi. Owszem, John van den Brom po burzliwym początku zdołał zapoznać się z realiami Ekstraklasy, a cztery zwycięstwa z rzędu w lidze na koniec jego debiutanckich rozgrywek dawały podstawy ku temu, żeby sądzić, że Holender wie już, jak poukładać swój zespół, by ten był skuteczny w lidze. Niewykluczone, że trener z Beneluksu tak właśnie pomyślał, miał do tego prawo. Wydaje się jednak, że jeśli faktycznie tak było, to zabrakło mu w tym pokory. Im dłużej trwał sezon, tym coraz częściej podnoszony był zarzut, że van den Brom zlekceważył Ekstraklasę, sądząc że liga sama się wygra. „Kolejorz” zaczął ligową kampanię udanie, bo po trzech meczach miał siedem punktów. Mniej cieszyć mógł styl gry, gdyż nie był on tak przekonujący, jak tuż przed wakacjami. Wydawało się wtedy, że po prostu potrzeba trochę więcej czasu, aby Lechici doszli do optymalnej formy. W sierpniu pojawiły się jednak pierwsze poważne symptomy tego, że niekoniecznie będzie tak łatwo i przyjemnie. Po kompromitującej porażce w dwumeczu eliminacji Ligi Konferencji Europy z niżej notowanym



Lech Poznań ma za sobą fatalny sezon

Spartakiem Trnava było już słycać pierwsze głosy domagające się zakończenia współpracy z holenderskim szkoleniowcem. Jakby tego było mało, trzy dni później „Kolejorz” poniósł porażkę 1:3 ze Śląskiem Wrocław.

Zespół pełen sprzeczności

Drużyna dostała czas, by pozbyć się po dwóch mocnych ciosach, ponieważ terminarz ułożył się tak, że do kolejnego spotkania miała niemal dwa tygodnie przerwy. Po niej Lech wrócił do dobrego punktowania, bo w czterech kolejnych konfrontacjach zainkasował 10 punktów. Warto zwrócić jednak uwagę, że wszystkie odbyły się na stadionie przy ulicy Bułgarskiej. Nie zmienia to faktu, że po ostatniej z nich wrócił optymizm, zachwiany sierpniowymi niepowodzeniami. „Kolejorz” wygrał bowiem przekonująco 4:1 z broniącym tytułu Mistrza Polski Rakowem Częstochowa. Jak się okazało osiem miesięcy później, był to jeden z nielicznych meczów w wykonaniu Lechitów podczas sezonu 2023/2024, który można uznać za faktycznie udany. Trzy dni po rywalizacji z Rakowem, „Kolejorz” pojechał do Szczecina. Był to dobry moment, by wreszcie nabrać właściwego rozpędu. Dwa zwycięstwa z rzędu z bardzo poważnymi rywalami mogłyby dodać bardzo dużej pewności siebie. Starcie z Pogonią zakończyło się jednak olbrzymią kompromitacją i przegraną w wymiarze

„ Najtrudniejszy do przebolecia jest fakt, że niemoc ogarnęła też innych faworytów w walce o czołowe lokaty. Wygranie ligi nie wymagało więc perfekcji, wystarczyło po prostu się nie skompromitować.

0:5. Tymi czterema dniami z przełomu września i października można zdefiniować rundę jesienną w wykonaniu „Kolejorza”. Nie potrafił on bowiem ani razu wygrać przynajmniej trzech kolejnych spotkań, co dla zespołu walczącego o tytuł jest niedopuszczalne. Gdy już udawało się sięgać po trzy punkty, zazwyczaj zdobywane w mało przekonującym stylu, to przytrafiał się kolejny kompromitujący występ. W ciągu zaledwie dwóch miesięcy Lech: wypuścił trzybramkowe prowadzenie u siebie z Jagiellonią, w Warszawie zagrał do bólu pragmatycznie, poniósł dwie domowe porażki z rzędu (z Widzewem Łódź i Piastem Gliwice) i zremisował 2:2 wyjazdowy mecz z Radomiakiem Radom (przy prowadzeniu 2:0 do 78. minuty). Taka postawa drużyny skłoniła władze klubu do podjęcia decyzji, której coraz mocniej domagali się kibice – zwolnienia Johna van den Broma.

Był to ostatni rozsądny ruch pionu sportowego. Postanowiono bowiem zaryzykować i dać szansę Mariuszowi Rumakowi, który od dobrych kilku lat był poza klubową piłką. Większość kibiców nie spodziewało

się wiele dobrego, a i tak się rozczarowali. Zespół po całkiem udanych dwóch inauguracyjnych spotkaniach zupełnie się posypał. Ostatnie kolejki sezonu były już sportową agonią. Choć w Poznaniu w ostatnich latach przywykli do rozczarowań, to czegoś takiego i tak dawno nie widzieli. Każdy kolejny mecz przybierał już coraz bardziej groteskowy wymiar. Lech nie tylko stracił szansę na odzyskanie mistrzowskiego tytułu i Pucharu Polski, ale wypadł nawet z rywalizacji o europejskie puchary. Mariusz Rumak kompletnie nie poradził sobie z tym zadaniem. Dobitnie świadczyły o tym nie tylko wyniki oraz gra, ale również sytuacje podczas konferencji prasowych, gdy trener pytany o przyczyny niemocy swojej drużyny, stwierdzał, że sam nie zna odpowiedzi na to pytanie.

Naiwnym byłoby obciążanie całą winą Mariusza Rumaka. Prawdopodobnie nie wiele by to zmieniło, ale władze poznaniaków nie pomogły swojemu trenerowi i nie zdecydowały się na przeprowadzenie żadnego zimowego transferu. Nawet w obliczu problemów zdrowotnych Mikaela Ishaka oraz bardzo słabej dyspozycji innych piłkarzy, o któ-

rych w tych wszystkich rozważaniach nie można zapominać. Na próżno szukać zawodnika, któremu nie oberwało się podczas minionego sezonu. Jeśli zespół w trakcie rozgrywek był prowadzony przez dwóch różnych szkoleniowców i grał tak samo źle, a może nawet zanotował regres, to raczej trudno znaleźć logiczne powody, by bronić piłkarzy. W rundzie wiosennej większość z nich wyglądała tak, jakby pierwszy raz miała styczność z piłką nożną, bo popełniali wiele absurdalnych błędów. Ich kulminacją nastąpiła w meczu z Legią, który poznaniacy przegrali po dwóch irracjonalnych golach samobójczych.

Najtrudniejszy do przebolecia jest fakt, że niemoc ogarnęła też innych faworytów w walce o czołowe lokaty. Wygranie ligi nie wymagało więc perfekcji, wystarczyło po prostu się nie skompromitować. Najgorsze dla Lechitów jest to, że nie za bardzo widać perspektywę na szybką poprawę sytuacji. Prawdopodobnie nie poprawi nastrojów do startu sezonu. Zarząd schował głowę w piasek, trochę tak jakby ostatnich miesięcy nie było. Lech stał się szablonowym przykładem na to, że niedanie sobie szansy na zrobienie kolejnego kroku może skutkować poważnym regresem. Nikt nie zrobił w zimie nic, by stworzyć choć pozory walki o korzystny rezultat, za co przy Bułgarskiej będą musieli zapłacić wysoką cenę.

Igor DZIEDZIC

Forum wymiany myśli studentów WNPID

Fenestra

Wydawca: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM, ul. Umultowska 89a, 61-614 Poznań.
Redakcja: Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, Uniwersytetu Poznańskiego 5, pokój 144, 61-614 Poznań
email: fenestra.uam@gmail.com, facebook: www.facebook.com/gazeta.fenestra
ISSN 2658-2023



Redaktor naczelny:
Kacper Zieleniak
Zastępczyni redaktora
naczelnego:
Daria Sienkiewicz
Redaktorka działu
polityki
i społeczeństwa:
Karolina Szymygin
Redaktor działu sport:
Igor Dziedzic

Redaktorka działu
kultura/Szefowa
działu foto:
Daria Sienkiewicz
Sekretarzynie redakcji:
Olivia Górską
Koordynator
ds. warsztatów:
Remigiusz Różański
Korekta:
Hanna Jaskuła
Kasia Chojnowska

Martyna Kościelska
Olivia Syrek
Amelia Ogrodowczyk
Redakcja:
Paulina Bączek
Marianna Czmochowska
Igor Dziedzic
Szymon Filipiak
Olivia Garczyńska
Zuzanna Górna
Marcelina Górską
Olivia Górską

Aleksander Gręda
Zuzanna Grzegorzewska
Paulina Juzak
Łukasz Kawa
Marcin Klonowski
Oskar Kmak
Martyna Kościelska
Monika Lisiak
Paweł Maksimczyk
Dominika Marciniak
Olivia Maziopa
Roksana Michalska

Olimpia Olik
Roch Orzechowski
Kacper Pocztarski
Julia Remisz
Piotr Rydz
Karolina Szymygin
Filip Stachowicz
Izabela Sulowska
Katarina Szweida
Anastasiya Trafimuk
Mateusz Wasielewski
Zuzanna Zaremba

Opiekunka redakcji:
Aleksandra Konieczna
Skład
Tomasz Szukała
Strona internetowa
www.gazetafenestra.pl
Facebook
www.facebook.com/gazeta.fenestra
Instagram
gazetafenestra
Twitter
/twitter.com/FenestraGazeta

Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz

Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania nadesłanych
tekstów.